Redaguje: Komitet.
Adres redakcji: Kredytowa 2/4 P.Z.B.W.P.
Red. naczelny przyjmuje wtorki, czwartki, soboty od 11 — 13. Tel. 8-74-32.
Redakcja prosi wszystkich Czytelników o nadsyłanie wszelkich dokumentów i fotografii dotyczących więzień, obozów koncentracyjnych i miejsc straceń, oraz wspomnień i publikacji z okresu okupacji hitlerowskiej.
Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.

PZBWP

WOLNI LUDZIE

PISMO POLSKIEGO ZWIĄZKU B. WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

Cena numeru 15 zł
Ogłoszenia przyjmuje administracja codziennie w godz 9—15
CENY OGŁOSZEŃ:
Cała strona 120.000 zł., ½ strony 65.000 zł., ¼ strony 40.000 zł
Poszukiwanie pracy, oraz poszukiwania zaginionych 5 zł za słowo, minimum 20 słów
Reklamowe 1 mm szerokości 1 szpalta 50 zł.
W tekście redakcyjnym 70 zł.
Tłustym drukiem 100% drożej.
Prenumerata miesięcznie 30 zł, kwartalnie 80 zł, półrocznie 150 zł, rocznie 300 zł.
Należności za prenumeratę i ogłoszenia należy wpłacać na konto P.K.O. Warszawa I-5664 „Wolni Ludzie".

Rok I | Warszawa, sobota 1 listopada 1947 r. | Numer 14

DE PROFUNDIS

PAMIĘTAJMY

Dzień Święta Umarłych stał się czymś więcej, niż czcigodną tradycją. Już nie jest tylko dniem pamięci o wszystkich umarłych, bliskich i najbliższych. I nie jest tylko uroczystością religijną. Sens dnia tego pogłębił się przez ostatni krwotok świata.

Dziś pamięć nasza o zmarłych to nade wszystko myśl o ofiarach zbrodni wojennych, myśl o bohaterach i męczennikach, o tych, którzy zginęli na polach bitew, w więzieniach, w obozach koncentracyjnych, w miejscach tortur śledczych.

Uboga wyobraźnia nasza nie obejmuje i nie nie obejmie nigdy bezmiaru cierpień ludzi zamęczonych, katowanych, trutych, palonych. Tylko serce nasze drży na myśl o tej gehennie. Nie oszczędzajmy naszego serca. Gdybyśmy zapomnieli o tym, co się działo w latach wojny, gdybyśmy zatarli obraz jej okropności — w trosce o swój spokój czy błogostan — osłabilibyśmy czujność naszą w obronie wszystkiego, co utrwala pokój. Kto nie chce wojny, niech pamięta ,czym była wojna.

I niech pamięta o tych, co zginęli o tych przede wszystkim, którzy zdali najwyższy egzamin szlachetności ludzkiej: ponieśli śmierć dla dobrej sprawy, w walce o wolność. W tym, co dziś dobre, w tym, co zmienia się na lepsze, w odmianach sprawiedliwych, w reformach społecznych, w nowym układzie stosunków międzynarodowych, żyje, wydaje owoce Wielka Ofiara, niedaremna i nieśmiertelna.

Jakże nie pamiętać o tych, co przez swe samozaparcie przyczynili się do zwycięstwa odniesionego nad wrogiem ludzkości. Nasz byt, nasze odrodzenie, nasze na przyszłość nadzieje zawdzięczamy przede wszystkim żołnierzom, partyzantom i bohaterom walki podziemnej. Dzięki ich ofiarom budujemy nasze nowe życie. Dzięki nim człowieczeństwo wygrało swoją sprawę.

Zginęły również wielotysięczne rzesze ludzi cichego czynu. Tych, którzy nieśli pomoc walczącym, wspomagali ich, ukrywali, ratowali, jak mogli.

Zginęły liczne tysiące zwłaszcza u nas w Polsce, działaczów społecznych, pracowników kultury, oświaty, nauki, sztuki. Nie doczekali zwycięstwa, nie ma ich, lecz wciąż korzystamy z ich dorobku, z owoców ich pracy i twórczości. Należy im się wdzięczna pamięć.

Wojna wyzwoliła z człowieka wszystkie szataniczne pierwiastki natury ludzkiej, ukazała ludzi bez maski, wszelkie zło doprowadziła do ostatecznego krańca. Zarazem jednak ujawniła cnoty człowieka szlachetnego, piękno serca i sumienia, wzniosłość ducha, wierność umiłowanej idei, bohaterstwo. Najlepsza część rodzaju ludzkiego, rehabilitująca szlachetność pokolenia, poniosła ofiary największe. Na to, żeby życie narodu i życie ludzkości zmieniło się na lepsze, na to, by można było usunąć supremację zła, na to, by zwiększyć sumę szczęśliwości człowieka na ziemi.

Pamiętamy, co zawdzięczamy tym, których już nie ma.

2 listopada 1945 r. *(Z książki: „Człowiek, Naród, Ludzkość").* JÓZEF WASOWSKI

Komunikat
Dyrekcji Państwowego Muzeum w Oświęcimiu

Na skutek dużego nasilenia wycieczek i wzrastającego zainteresowania, jakie budzi dawny obóz koncentracyjny, Dyrekcja Państw. Muzeum Oświęcim komunikuje, że Muzeum Oświęcim i były obóz Brzezinka zwiedzać można codziennie od godz. 8 — 16.

Wstęp na teren Oświęcimia wynosi 20 zł. od osoby. Młodzież szkolna opłaca 10 zł. Za zwiedzanie Brzezinki płaci się oddzielnie w tej samej wysokości. Kasy wstępów przydzielają wycieczkom przewodników.

Dyrekcja Muzeum stwierdza, że przy zwiedzaniu Oświęcimia należy zachować następujący porządek: Wpierw były obóz Brzezinka (krematoria, stosy paleniskowe, obóz żeński) a następnie Muzeum w obozie centralnym Oświęcim.

Wycieczki zbiorowe należy uprzednio zgłaszać listownie na adres: Państwowe Muzeum Oświęcim, lub telefonicznie na Oświęcim Nr. 97.

W niedzielę i święta odprawiają się w kaplicy nabożeństwa (godz. 9 i 11).

Muzeum czasowo nie ma hotelu, ani miejsc noclegowych do dyspozycji, może jednak dać nocleg wycieczce do 100 osób, stawiając — za uprzednim porozumieniem — do dyspozycji jedynie łóżka z siennikami.

Z zasady Muzeum nie przygotowuje posiłków, jednak mniejsze grupy mogą być zaaprowizowane po wcześniejszym skontaktowaniu się z Dyrekcją.

Biuro Poszukiwań byłych więźniów i wszystkie sprawy z tym związane, oraz sprzedaż fotografii byłych więźniów, prowadzi PCK — Kraków, ul. św. Anny L. 5.

Wycieczki pragnące pobrać prochy, lub zorganizować na terenie byłych obozów uroczystości i składać wieńce, winny uzyskać zgodę Dyrekcji i uzgodnić program wspomnianych uroczystości.

Dary na budowę Muzeum, gotówkowe czy materiałowe (budowlane, urządzenia wnętrz, urządzenia warsztatów rzemieślniczych, pamiątki itp.) prosimy przesyłać bezpośrednio na adres Dyrekcji Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

Święto Umarłych
w obozach koncentracyjnych

Ukazanie się tego numeru zbiega się z dniami, poświęconymi pamięci Zmarłych. W Polsce w ostatnich latach, smutne te uroczystości szczególnie przybrały na rozmiarach. Jednym z centralnych punktów zbiorowego ogólnopolskiego obchodu będzie Oświęcim, ściśle mówiąc teren byłego obozu koncentracyjnego z lat 1940—1945.

Jak w dwu poprzednich latach, tak i w tym roku nastąpi masowy zjazd z całej Polski do tego miejsca, uświęconego krwią męczenników wszystkich narodów europejskich, wszelkich ras i wyznań. Czcić ich wszystkich będziemy bez czynienia różnic, bo wszyscy oni cierpieli ponad ludzką miarę, a ofiarą swojego życia zapłacili za wolność ludów i godność człowieka.

Uroczystości rozpoczną się o godz. 9 rano nabożeństwem na dziedzińcu 11 Bloku. W czasie obrzędów religijnych Chór Cecyliański z Krakowa wykona jeden z najcelniejszych utworów polskiej muzyki religijnej z 16 wieku, mszę Bartłomieja Pękiela.

Licząc się z masowym napływem osób, pragnących uczcić pamięć poległych we wszystkich obozach koncentracyjnych, których symbolem jest Oświęcim, Dyrekcja Muzeum Państwowego poczyniła wszelkie przygotowania — uprasza jednak — w wypadku wycieczek zbiorowych — o zgłoszenie ich wcześniejsze za pośrednictwem poczty, na adres: Państwowe Muzeum w Oświęcimiu, wzgl. telefoniczne na Nr. Oświęcim 97 w godz. od 8 — 15.



Kto wygrał wybory we Francji

Kilka uwag z zakresu geografii politycznej kraju

Francuskie wybory samorządowe przyciągnęły ogólną uwagę z wielu przyczyn. Odbywały się one w okresie wzmożonego nacisku reakcyjnych kół amerykańskich na Europę. Nacisk ten daje się odczuwać szczególnie silnie we Francji, która jest jedną z najpoważniejszych, a może najpoważniejszą stawką w amerykańskiej rozgrywce o „stary kontynent". Odbywały się w kraju, w którym najsilniej chyba jest rozwinięta świadomość mas ludowych i w których elementy postępowych opierają się szczególnie silnie anglo - amerykańskiej ekspansji. Poza tym, w wyborach tych, poraz pierwszy występował oficjalnie de Gaulle ze swoim stronnictwem. Wreszcie głosowanie odbywało się w momencie strajku pracowników metra paryskiego, w chwili stale zaostrzającej się krytycznej sytuacji finansowej i gospodarczej, do której doprowadził Francję rząd Ramadiera i jego służalczy stosunek do ekspansywnej polityki wielkiego kapitału zza oceanu.

Z drugiej strony jednak należy stwierdzić, że wybory samorządowe z natury swej nie są najlepszym sprawdzianem sytuacji w kraju. Odbywają się one w poważnej części w małych gminach i miasteczkach, w których ludzie wzajemnie się znają, są mniej zorientowani w wielkich rozgrywkach politycznych i kierują się raczej indywidualną oceną kandydata na burmistrza aniżeli programem partii, którą kandydat ten reprezentuje.

Niezależnie od tego wyborom towarzyszyło wielkie zainteresowanie, a szczególnie ugrupowania reakcyjne pokładały w nich wielkie nadzieje. Dodawała im otuchy nowa niedemokratyczna ordynacja wyborcza, która miała ułatwić ograniczenie wpływu elementów postępowych w kraju.

Do walki stanęły właściwie cztery wielkie partie. Komunistyczna, socjalistyczna, MRP i RPF — partia de Gaulle'a. Pewną siłę mogli jeszcze przedstawić reprezentowani w rządzie radykałowie.

RPF — „Zjednoczenie Narodu Francuskiego" — partia o typie neofaszystowskim, popierana przez amerykańską finansjerę występowała pod drogim wszystkim dyktatorom hasłem „walki z „partyjnictwem" (czytaj ustrojem parlamentarnym). Głównym jej „atutem" propagandowym była osoba de Gaulle'a, „męża opatrznościowego" Francji (czy raczej reakcji francuskiej). Głównym, oficjalnie głoszonym, celem — walka z „komunizmem", związanie Francji z blokiem zachodnim.

De Gaulle wyraźnie oświadczył, *że celem jego jest oderwanie masy wyborców od partii komunistycznej.* Propagował on zjednoczenie wszystkich Francuzów na płaszczyźnie narodowej, jakoby „ponadklasowej".

To negowanie objektywnie istniejących zjawisk społecznych — walki klas i sprzeczności istniejących między interesami prywatnego pracodawcy i robotników jest ulubionym argumentem wszystkich faszystów. Mussolini ubrał się w teoretyczną formę swojego syndykalizmu, którego praktycznym zastosowaniem był jego system korporacyjny. Wszystkie te teorie „współpracy" różnych klas społecznych na płaszczyźnie narodowej, służą w państwie kapitalistycznym, w którym władza jest w ręku klas posiadających do rozbrojenia mas robotniczych. De Gaulle nie starał się nawet robić nowych wynalazków, wystarczyły mu stare wzory.

MRP, partia powstała po wojnie, reprezentująca ruch katolicki składała się z najróżnorodniejszych elementów. Ponieważ była ona dotąd największą partią prawicową, przyłączyły się do niej wszystkie te czynniki, które stojąc zasadniczo dużo dalej na prawo nie umiały sobie znaleźć innego miejsca. Poza tym miała na nią oczywiście duży wpływ polityka Watykanu współpracującego dziś ściśle w dziedzinie polityki zagranicznej z Waszyngtonem, który skolei zainteresowany był w złamaniu we Francji ruchów demokratycznych, antykapitalistycznych, stanowiących główną przeszkodę na drodze jego ekspansji w Europie zachodniej. MRP, tak jak i RPF operowało głównie argumentem antykomunizmu, a poza tym walczyło z tradycyjną już we Francji szkołą świecką, będącą od dawna głównym kamieniem obrazy hierarchii kościelnej, która stanowiła też czołowy oddział propagandystów i agitatorów przedwyborczych tej partii.

Radykałowie, najpoważniejsza przed wojną partia francuska, utracili już swe wpływy w poprzednich głosowaniach. I ta partia jest partią mieszczańską. Wielu jej przywódców skompromitowało się swą polityką ostatnich lat przedwojennych i kolaboracją w czasie okupacji. Wchodzili oni jednakże do rządu Ramadiera, gdyż potrzebni mu byli do sklecenia większości w parlamencie.

Naprzeciw tych wszystkich organizacji, o różnych odcieniach reakcyjnych stawała Partia Komunistyczna, partia która w wyborach do parlamentu zdobyła największą ilość głosów i to zarówno na osi jak i w ośrodkach przemysłowych, prawdziwa partia narodu francuskiego, na którą głosowało 30 proc. wyborców i która nieustępliwie broniła Francji przed ingerencją mocarstw zachodnich, a ludu francuskiego przed eksploatacją przemysłowców i politykę Ramadiera, który coraz wyraźniej przerzucał cały ciężar odbudowy na barki robotników i chłopów, a oszczędzał wielkich kapitalistów, (w okresie np. kiedy Ramadier utrzymywał zablokowane pensje robotnicze, dochody wielkich trustów wzrosły 600 krotnie). Robotnik francuski wydatnie zwiększył w tym czasie wydajność pracy, poziom produkcji rósł, co uzasadniało żądanie podwyżki płac. Na skutek polityki Ramadiera, nadwyżka produkcyjna zdobyta kosztem wysiłków robotniczych szła w formie rosnącej dywidendy do kieszeni kapitalisty zamiast być rozdzieloną w formie zwiększonych płac rzeczywistych wśród narodu.

Partia komunistyczna stała się więc oczywiście przedmiotem skoncentrowanego ataku całej reakcji krajowej popieranej przez kapitał anglosaski.

Partja socjalistyczna SFIO, kierowana przez prawicowych socjalistów typu Bluma i Ramadiera chciała występować w charakterze zderzaka między tymi dwoma siłami. Określenie to jest niewłaściwe. SFIO chciała uchodzić za zderzak. W rzeczywistości jednak kierownictwo jej dawno już zaprzedało się duszą i ciałem i chciało po prostu, szermując swą nazwą „socjalistów" i kilku demagogicznymi frazesami rozbić ruch robotniczy i stanowić nie siłę centrową utrzymującą równowagę między dwoma skrzydłami, ale raczej puklerzem prawicy, chroniącym ją przed stale wzmagającą się świadomością mas i ich zdecydowaną wolą zmiany warunków społecznych, gospodarczych i politycznych życia francuskiego.

Swiadczy o tym m. in. skład społeczny tej partii. Swiadomi robotnicy dawno już od niej odeszli. Spośród ok. 300 tys. członków SFIO tylko jedna trzecia stanowią tumanione jeszcze elementy robotnicze. Masę dołów partyjnych tworzy — drobnomieszczaństwo.

Poglądy ludzi i grup politycznych ocenia się nie ich deklaracją, a czynami. Rząd „socjalistyczny" — Ramadiera od chwili gdy wypchnięto z niego komunistów szedł coraz bardziej na rękę krajowej i międzynarodowej reakcji, zaprzepaścił w dużej mierze zdobycze reform społecznych pierwszego okresu po wyzwoleniu Francji, doprowadził do katastrofalnej sytuacji aprowizacyjnej, gospodarczej i finansowej w kraju, zrezygnował w praktyce z reparacji i węgla z Zagłębia Ruhry, niezbędnych do odbudowy niezależnego przemysłu francuskiego, a wszystko poto, aby przypodobać się amerykańskiej finansjerze, która snując przed oczami Francuzów złudne miraże dolarowych pożyczek coraz mocniej usadawiała się za plecami Ramadierów i Blumów we Francji, coraz silniej opanowywała francuskie życie gospodarcze. Ze rozwój przemysłu francuskiego nie leżał w interesie tych panów — to jasne. Ze rozwój ten był i pozostaje jedynym warunkiem gospodarczej, a więc i politycznej niezależności Francji — to także jasne. Na tym tle wyraźnie występuje „socjalizm" Blumów i Ramadierów ich troska o ludzi pracy. We Francji opanowanej przez kapitał zagraniczny jego — kapitaliści francuscy pożywią się tylko ze odpadkami z pańskiego stołu. Kosztą gospodarczej okupacji i eksploatacji zapłaci — lud.

Oczywiście, że i SFIO występowało głównie do walki pod hasłami antykomunizmu. Warunki się tak ułożyły, że wrogowie suwerenności Francji są w chwili obecnej również wrogami komunizmu — ...i odwrotnie.

Jakież były w tym układzie rzeczy wyniki wyborów?

W pierwszej chwili po otrzymaniu rezultatów reakcja głośno opowiadała o swym triumfie. Przy bliższym jednak zanalizowaniu wyników wyborów sprawa ta wygląda nieco inaczej. Rzeczywiście — największą ilość głosów zdobył de Gaulle. Ale zdobył on je nie kosztem komunistów, których stan posiadania wyrażony w ilości oddanych głosów nie zmienił się, a na swoich reakcyjnych współbraciach. Jeżeli ilość mandatów zdobytych przez komunistów w niektórych okolicach spadła, pomimo to, że nie utracili oni głosu, to nie jest to przecież „zasługa" de Gaulle'a, ale po prostu winą nowej, niedemokratycznej ordynacji wyborczej o której wyżej wspominaliśmy.

Radykałowie w praktyce przestali istnieć, MRP straciło około połowy swych głosów, de Gaulle wygrał wojnę nie z komunistami, ale z prawicą, wojnę do której nie dążył. Konkretnie — komuniści mają te same 30 proc. głosów, które mieli, a gdzieniegdzie zdobyli ich nawet trochę więcej, RPF ma 38 proc., socjaliści ok. 18 proc. i MPR ok. 9 proc. Socjaliści zyskali trochę głosów w niektórych okręgach, też kosztem radykałów, a nie komunistów. Chodzi tu zapewne o te elementy mieszczańskie, które wychowane w świeckich i „burżuazyjno - demokratycznych" tradycjach francuskich nie chciały pójść za klerykalnym MRP i faszystowskim RPF, a wiedziały, że ze strony „socjalistów" żadne „niebezpieczeństwo" społeczne im nie zagraża.

W wyborach samorządowych komuniści wykazali swą zwartość i świadomość polityczną, udowodnili, że ich zwolennicy nie szukają zmiennej koniunktury ganiając od partii do partii, ale mają zdecydowany światopogląd, którego bronią, o który walczą. Prawica wykazała swą chaotyczność. Poza tym posunął się dalej proces polaryzacji. Stanęły wyraźnie dwa bloki — blok postępu reprezentowany przez komunistów i blok reakcyjny de Gaulle'a, między nimi, ale zwróceni zawsze frontem w jedną tylko stronę zostali, tylko intryganci z SFIO, chcący na zderzeniu tych dwóch mas zrobić karierę polityczną i ubić własny wąsko - partykularny interes w służbie tej, która płaci i to płaci dolarami.

Z wyborów francuskich płynie jedna nauka. W rozgrywającej się walce postępu z reakcją nie ma dziś środka. Trzeba się raz na zawsze opowiedzieć. Albo być broni postępu, albo którąkolwiek drogą przez intrygi Blumów i Ramadierów, czy też klerykalizm Bidaultów i Schumacherów stacza się niechronnie do faszyzmu.

A faszyzm to pasiak, drut naładowany prądem, gaz i... krematorium.

(Jur)

Na widowni międzynarodowej

Wreszcie i wielkie państwo anglosaskie na sobie doświadczyć musiało, że przyjaźń, to rzecz bardzo problematyczna. Różne bowiem przyjaźnie bywają. Najbardziej kosztowne — to te dolarowe. Rzeczą bardzo nieprzyjemną jest ostatnia „mutacja" rządu angielskiego. Niby to sami labourzyści.

A jednak.

Nie ulega wątpliwości, że w łonie lewicy angielskiej dokonywują się daleko idące przeobrażenia. Że Shinvell niezupełnie zgadza się z Attlem i Bevan z Crippsem — zrozumiałe. Lecz kryzys gospodarczy w W. Brytanii nie osiągnął jeszcze swego punktu kulminacyjnego. My w Polsce nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wygląda życie w Anglii. Jaki jest ruch, skierowany przeciwko wszystkiemu, co przeciwne jest nacjonalizacji angielskiego życia gospodarczego.

Zdawałoby się, że szerokie masy mają tam decydujący głos.

Nic podobnego. Wpływ na opinię publiczną mają czynniki, które działają z ukrycia. I te nie pozwalają, by słowo prawdy dotarło do najszerszych warstw społecznych.

Łudziliśmy się kiedyś, że Stany Zjednoczone Ameryki — to kraina rzeczywiście demokratyczna. Tam mieszkać — mówiono — to znaleźć raj na ziemi.

Ohh, jakże się to wszystko zmieniło, Ameryka — Ameryką. Rzeczywiście. Lecz, czy prawdą jest, że ta Ameryka jest naprawdę aż tak demokratyczna? Znak, a nawet wielki znak zapytania. Kto przegląda gazety codzienne ten będzie mógł łatwo stwierdzić, że nie bardzo jakoś tam wygląda. Bardzo dziwnym okazał się dekret Trumana w sprawie zwołania nadzwyczajnej sesji Kongresu. Niedawno jeszcze mówiono, że nie ma potrzeby zwołania Kongresu, a tu raptem „Pierwszy obywatel Stanów" uznał za wskazane podzielić się z członkami Kongresu niesamowitymi wieściami, dotyczącymi ogólnoświatowej gospodarki i sprawą podążenia z pomocą „biednej" Europie, a Niemcom przede wszystkim.

Delegaci nasi na obrady OZN i inne konferencje międzynarodowe bardzo wyraźnie określili stanowisko Polski co do zagadnienia niemieckiego. Są malkontenci, którzy twierdzą, że głos Polski nie ma na świecie znaczenia.

Nieprawda. Sam wielki minister spraw zagranicznych W. Brytanii Bevin stwierdzić musiał w wielkim expose w Izbie Gmin, że „rację miała Polska, gdy chodzi o sprawę Niemiec". Tak jest. My dobrze znamy naszych zachodnich sąsiadów i wiemy, jak ich oceniać. My wiemy, co oznacza duch germański. My dobrze rozumiemy, że w duszach pruskich w dalszym ciągu drzemie bunt, zwrócony przeciwko wszystkiemu, co słowiańskie. Z tym większą uwagą rejestrujemy wszelkie przejawy narastającej z każdym dniem przyjaźni narodów, znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie z Polską.

Najlepszym dowodem — wzrastające z każdym dniem objawy przyjaźni polsko-czeskiej, ujawniającej się na wszystkich odcinkach życia gospodarczo-kulturalnego.

A we Francji dzieją się rzeczy nie bardzo świadczące o normalizacji życia wewnętrznego. Wręcz odwrotnie. Wybory samorządowe nie przyniosły decyzji. W dalszym ciągu wre tam walka między kołami lewicowymi i reakcją, która w ostatnim czasie coraz głośniej dochodzi do głosu. Premier Ramadier zbyt mało poświęca czasu na walkę ze zwolennikami de Gaulle'a, lecz lud paryski zajął już zdecydowaną pozycję, wypowiadając się przeciwko wszelkim dyktatorskim zakusom ruchu gaulle'istowskiego.

Słowo po słowie, fakt po fakcie

W Norymberdze urzęduje stale przedstawiciel Polskiej Misji Wojskowej w Niemczech, który utrzymuje łączność między władzami polskimi a amerykańskimi organami wymiaru sprawiedliwości, które zajmują się niemieckimi zbrodniarzami wojennymi.

Delegat Polski otrzymuje uwierzytelnione odpisy wszystkich przedkładanych trybunałom wojskowym dokumentów oraz protokóły rozpraw w językach angielskim i niemieckim. **W przyszłości z materiałów tych powstanie biblioteka, która stanowić będzie zbiór źródłowych wiadomości o zbrodniach niemieckich.**

Z jednego tylko procesu hitlerowskich lekarzy, który zakończył się niedawno w Norymberdze, misja polska otrzymała 13.000 stron protokółów z rozprawy i około 650 tomów dokumentów. Nad opracowaniem tego olbrzymiego materiału pracuje w Norymberdze 800 prawników i urzędników amerykańskich oraz około 1.000 osób pomocniczego personelu niemieckiego.

Delegat Polskiej Misji Wojskowej dostarcza często sądom amerykańskim cennych dokumentów przeciwko oskarżonym hitlerowcom. W procesie czołowych prawników niemieckich wykorzystano kilkadziesiąt przysłanych z Polski wycinków z gazet niemieckich, zawierających doniesienia o wyrokach śmierci wydanych na obywateli polskich przez niemieckie Sondergerichty.

W procesie Kruppa prokuratura amerykańska posługiwać się będzie przekazanymi z Polski dokumentami

Obecnie przygotowywany jest proces przeciw wyższym urzędnikom niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, z podsekretarzem stanu, dr. Weizsackerem na czele. Poważny materiał obciążający stanowić będzie dostarczony przez Polskę protokół zeznań niejakiego Grzimka, który uczestniczył w prowokacyjnych, rzekomych incydentach granicznych, jakie inscenizowali Niemcy, w okolicach nadgranicznych w sierpniu 1939 r.

W rocznicę Października

Dwa były rodzaje więźniów w obozach niemieckich: ofiary ucisku narodowego i ofiary ucisku społecznego.

Na tych dwóch podstawach, na wyzysku innych narodów i wyzysku wszystkich ludzi pracy chciała bankiersko-faszystowska spółka Hitlerów, Goeringów i Kruppów budować swe panowanie nad światem.

Więźniowie obozów koncentracyjnych to nie byli tylko przeciwnicy polityczni skazani na zagładę. Mieli oni tworzyć jednocześnie nową klasę społeczną — klasę niewolników, których darmowa praca służyła do pomnożenia bogactw kapitalistów. Faszyzm i imperializm nawróciły do starożytnych form ustroju społecznego — do niewolnictwa. Krańcowa forma w jaką wyrodził się kapitalizm posunęła również najdalej obowiązującą we wszystkich ustrojach kapitalistycznych zasadę eksploatacji człowieka przez człowieka.

Ta społeczna strona „zagadnienia obozowego" sprawia, że święto rocznicy Rewolucji Październikowej, rocznicy tej rewolucji, która obaliła stary porządek społeczny w imię dwóch wielkich haseł: wyzwolenia społecznego i wyzwolenia narodowego ludzkości jest świętem wszystkich byłych więźniów politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych bez różnicy poglądów i przynależności narodowej.

Hasła wolności wypisane na czerwonych sztandarach ludu rosyjskiego urosły w Związku Radzieckim do wysokości dogmatu państwowego, stały się pojęciem rzeczywistym w moralności politycznej obowiązującej na jednej szóstej globu ziemskiego.

Wolność społeczna jest nieodłączna od wolności politycznej, tak jak ucisk społeczny łączy się nieodzownie z uciskiem politycznym innych narodów. Dowiodła tego historia carskiej Rosji równie dobrze, jak historia imperialistycznych krajów kolonialnych czy hitlerowskich Niemiec. Jeszcze w 1892 r. w przedmowie do polskiego wydania „Manifestu Komunistycznego" Engels pisał:

„Dla zgodnego współdziałania europejskich narodów jest ona (niepodległość Polski) koniecznością... Robotnikom całej pozostałej Europy niepodległość Polski potrzebna jest tak samo, jak i robotnikom polskim".

A Lenin wołał:

„Nie jest wolnym naród, który uciska inne narody". Hasło to przybrało konkretne formy w znanych już ogólnie postanowieniach władzy radzieckiej, która w pierwszym roku swego istnienia uroczyście przekreśliła wszystkie umowy dotyczące rozbiorów Polski.

I nie jest przypadkiem, że Hitler najzacieklejszy wróg narodu polskiego był jednocześnie najzacieklejszym wrogiem haseł Październikowej Rewolucji. Taka jest logika historii. Faszyzm, kapitalizm jest zawsze wrogiem słabszych narodów i wrogiem mas pracujących, wrogiem postępu i wolności.

Dla tego też w szczególności my, b. więźniowie polityczni, którzy tak dotkliwie, jak nikt może w historii doznaliśmy na własnej skórze skutków pozbawienia swobody, skutków ucisku faszystowskiego w którejkolwiek z tych dwóch dziedzin obchodzić będziemy święto Rewolucji Październikowej nie jako święto naszego wielkiego sprzymierzeńca, nie jako pewną formę oficjalną, upamiętnienia wielkiego aktu historycznego, ale jako NASZE święto, święto zwycięstwa idei postępu i wolności nad największą zmorą ludzkości, zmorą, którąśmy niestety tak dobrze poznali, nad UCISKIEM.

Nasza przyjaźń

Ciągnęła się sprawa przez długie lata historii. Przez długie lata, podczas których rozrastała się siła germańska ulegaliśmy niemal bezwiednie jej naciskowi, prąc razem z nią na wschód. Przez te długie lata nie mogliśmy zrozumieć, że droga ta prowadzi do naszej zguby, do zguby całej słowiańszczyzny, zniszczenie której Niemcy postawili sobie za naczelne zadanie.

Ta krótkowzroczna polityka rządziła Polska aż do czasu ostatniej wojny, do czasu kiedy na nasze ziemie wkroczyli Niemcy by uledz wreszcie żelaznemu naciskowi Armii Radzieckiej, która wraz z naszymi jednostkami I Armii przyniosła nam wybawienie z hitlerowskiego jarzma.

Wtedy to odzyskaliśmy zagrabione nam przed wiekami ziemie piastowskie, wtedy to podawszy sobie bratnią dłoń razem z obywatelami Rosji Sowieckiej i Czechami stanęliśmy twardo na nowych, jedynie słusznych granicach słowiańszczyzny. I wtedy dopiero zrozumieliśmy, że nasza przyjaźń ze Związkiem Radzieckim jest naszym być albo nie być.

W pierwszym okresie musieliśmy jeszcze zwalczać w sobie zadawnione urazy psychiczne, narzucone nam przez wychowanie całych pokoleń, musieliśmy zrozumieć, że rozwijać się pomyślnie możemy tylko na ziemiach etnicznie polskich, zagrabionych nam przez krwiożerczego sąsiada zachodniego.

Podobne opory musieli zwalczać również w sobie Rosjanie i Czesi, wobec których jakżesz często nasza polityka przedwojenna używała krótkowzrocznych i nieszlachetnych chwytów.

Dzisiaj nasza przyjaźń ugruntowana na zasadach dobrze zrozumianego, wspólnego interesu okrzepła ostatecznie, dając odrazu dobre rezultaty.

Zakusy na nasze Ziemie Odzyskane rozbiły się o lojalną i przyjacielską postawę Związku Radzieckiego. Dzisiaj wspólnie czuwamy nad tym, aby sąsiadowi niemieckiemu nie odrosły łatwo żelazne pazury. Układy handlowe zapewniają obustronne korzyści. Za niektóre produkty naszej ziemi i naszego przemysłu otrzymujemy ze Związku Radzieckiego zboże i maszyny. Trwa nieustanna wymiana myśli. Uczeni obu narodów pracują wspólnie nad wynalazkami, z których korzystać będzie cała słowiańszczyzna. Polscy i radzieccy artyści odwiedzają naprzemian oba kraje, wspólnym wysiłkiem gruntując przyjaźń narodów.

Miesiąc przyjaźni polsko radzieckiej miał już raczej znaczenie symboliczne, bo prawdziwa przyjaźń gruntuje się między nami każdej chwili, każdego dnia zarówno podczas wspólnych występów na arenie międzynarodowej, jak i w czasie codziennej, nieustającej pracy nad uszczęśliwieniem nowych pokoleń.

JÓZEF WASOWSKI

Prezes Zarządu Głównego Zw.Zawodowego Dziennikarzy R. P. odznaczony Orderem Polonia Restituta, Profesor Wyższej Szkoły Dziennikarskiej i Wydziału Dziennikarskiego Akademii Nauk Politycznych.

po długich i ciężkich cierpieniach zmarł dnia 21 października 1947 r. w Warszawie.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

REDAKCJA „WOLNYCH LUDZI"

ZJAZD TOW. PRZYJAŹNI POLSKO - RADZIECKIEJ W WARSZAWIE

18 i 19 października odbył się w Warszawie Krajowy Zjazd delegatów Tow. Przyjaźni Polsko - Radzieckiej. W Zjeździe wzięli także udział w charakterze gości przedstawiciele Komitetu Słowiańskiego w Moskwie, Komitetu Ogólno - Słowiańskiego w Belgradzie, Tow. Przyjaźni Radziecko-Jugosłowiańskiej, Czechosłowackiej, Bułgarskiej, Rumuńskiej i Francuskiej.

Zjazd otworzył okolicznościowym przemówieniem prezes Tow Przyjaźni Polsko - Radzieckiej min Henryk Świątkowski, kładąc nacisk na fakt że dzisiejsze Tow. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej jest kontynuacją tradycji przyjaznego związku demokratów polskich, Mickiewicza, Staszica, Lelewela i wielu innych, z demokratami rosyjskimi.

W im. Związku Radzieckiego przemówił przedstawiciel ambasady radzieckiej, radca Jakowlew. W mowie swej zaapelował o akcję uświadomienia społeczeństwa polskiego, że Związek Radziecki jest wielkim przyjacielem Polski, na którego Polska zawsze może liczyć.

Po odśpiewaniu przez chór hymnów polskiego i radzieckiego, przewodniczący Zjazdu odczytał telegram przesłany przez Prezydenta Bieruta. Poczym nastąpiły dalsze przemówienia w imieniu Rządu Polskiego, Wojska, Komitetu Słowiańskiego itd. Po przerwie Zjazd przystąpił do właściwych obrad. Referat ideowy wygłosił min. Świątkowski.

Przegląd działalności Towarzystwa podał w drugim dniu obrad sekretarz generalny ob. Wroński. Towarzystwo Przyjaźni Polsko - Radzieckiej powstało jesienią 1944 r. Obecna liczba członków T-wa przekroczyła już 366 tys. osób. Działalność T-wa przejawia się w organizowaniu akcji świetlicowej, nauki języka rosyjskiego oraz we współpracy polsko - radzieckiej i wymianie kulturalnej w dziedzinie życia naukowego, kulturalnego i sportu. W zakończeniu swej mowy sekretarz gen. Wroński zaapelował o wzmożenie pracy na odcinku kobiecym i młodzieżowym.

Zebrani udzieliwszy absolutorium ustępującemu zarządowi, przystąpili do wyboru nowych władz T-wa.

Do Rady Naczelnej powołano 65 osób.

Do Zarządu Głównego weszli m. in. min. Świątkowski, wicemin. Wolski, wicemin. Drewnowski, wicemin. Chajn, ob. Wroński, ob. Zaruk - Michalski i dr. Widy-Wirski.

Na zakończenie obrad delegaci Pierwszego Zjazdu T-wa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej uchwalili wysłać depeszę do Prezydenta R. P. Bieruta, do generalissimusa Stalina, min spraw zagranicznych ZSRR Mołotowa i przewodniczącego WOKS, Kiemieniewa.

Sztuka w obozie

Narodziny talentu

TO BYŁO tak, jakby spadły z nas reszki przynależności do dawnego życia, jakgdyby razem z sukniami zdarto z nas wszystko, cokolwiek miało związek z przeszłością.

F. K. L. Ravensbrück, jeden z tych okrutnych niemieckich molochów, wprawnie i szybko wchłaniał w siebie kobiety różnych narodowości i różnych klas, bacząc pilnie, aby nie miały możności obejrzeć się poza siebie. W jednej olbrzymiej stercie, pod chciwymi oczyma „ausierek“ ginęły wszystkie nasze rzeczy.

W krótkim czasie, mimo czujnych oczu zgrai ausierek, zaczęły się dziać w obozie wszystkie zakazane rzeczy.

A więc: wspólne modlitwy, różne pogadanki i odczyty, „tajna literatura“ w postaci całych tomików (ze ścinków gazet i szczątków papieru) różnych przypomnianych, ewentualnie własnych wierszy, które kursowały z rąk do rąk. Bardzo szybko też zakwitły: sztuka, malarstwo, rzeźba. Ta ostatnia miała historię specjalną.

Był to rok 41. Transporty nasze, t. zn. warszawski i lubelski, trafiły na okres, kiedy Niemcy zaczęli organizować w Ravensbrück różnego rodzaju warsztaty. Prawie wszystkie z nas wzięto do tych warsztatów.

Była to praca siedząca, która przy odrobinie sprytu, pozwala na robienie „sabotaży“, czyli wszelkich prac niezwiązanych z robotą dla Niemców. Jedynymi rzeczami, jakie pozwolono nam (zresztą nie wszystkim) wziąć ze sobą po wyjściu z pierwszej kąpieli, były — niewinne napozór przedmioty — szczotki i proszek do zębów. My ze swej strony, dość szybko, od starych mieszkanek obozu, wystarałyśmy się o kilka scyzoryków, które były niezbędnie potrzebne w codziennym, obozowym życiu.

Nie wiem, która pierwsza, — bodajże Joanna Szydłowska z Lublina, wpadła na oryginalny pomysł. Z trzonków od szczotek do zębów zaczęła rzeźbić maleńkie medaliki, a także drobne maskotki. Bardzo ładne były to cacka, to też ich wytwórczyni zasypana została zamówieniami.

Maskotki Joanny były b. ładne, a zwłaszcza zwierzęta. — Trzeba przyznać że zwierzęta Joanny były prześliczne.

Prócz niej, jeszcze kilka kobiet zaczęło wyrabiać te drobiazgi, o wiele jednak mniej ładne.

Przez kilka miesięcy patrzyłam z zazdrością na te cuda, marząc skrycie o posiadaniu jakiejś maskotki, nie przyszło mi oczywiście do głowy, że sama mogłabym takie rzeczy robić.

Aż pewnego razu poprosiła mnie koleżanka o zrobienie świnki. Śmieszną mi się wydała jej prośba, ale ponieważ bardzo nudziła — wzięłam się do roboty. Jaką dziwną przyjemnością było manewrowanie scyzorykiem w miękkiej stosunkowo masie. Wreszcie, po długim wysiłku, skończyłam i przyjrzałam się swemu dziełu. Mała, różowa świnka, z zakręconym ogonkiem, bardzo mi się podobała i stała się zachętą do dalszego próbowania sił w tym kierunku.

Następną rzeczą, jaką zrobiłam, była syrena (ta z herbu) — na imieniny przyjaciółki. Bardzo się przy niej namęczyłam.

Pracowałam wtedy w „bertriebie“ przy szyciu futer w t. zw. U-baraku. „Kolonką“ była b. przyjemna i przyzwoita Polka z Zakopanego, p. Liberakowa. Ponieważ robiłam w czasie pracy, więc zobaczyła moją syrenkę. Poprosiła o zrobienie figurki Matki Boskiej. Spróbowałam i udało się.

Odtąd moje życie w U-baraku ułożyło się mniej więcej w ten sposób: przede mną, na stole leżało rozłożone futro lotnicze, a ja w jego fałdach wyrzynałam „szczoteczkowe sabotaże“. Szyłam tylko wtedy, kiedy zbliżała się ausierka.

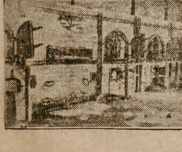
Ponieważ Niemki przeważnie szyły więcej, aniżeli wymagano, więc tę nadprodukcję zapisywała p. Liberakowa na moje konto. W ten sposób byłam kryta i to tak idealnie, że przez cały czas pracy w U-baraku, nie wiem, czy uszyłam choć trzy „anoraki“.

Za to rozwinęłam na dużą skalę produkcję „sabotażyków“. Posypały się zamówienia jak z rogu obfitości.

Początkowo robiłam najwięcej figurek M. Boskiej, z białej lub niebieskiej szczotki, na wzór tych, jakich setki spotyka się w kościołach.

Najpierw były to prace bardzo nieudolne, bo przecież o rzeźbieniu nie miałam dotąd pojęcia. Później jednak stopniowo doskonaliłam swoje prace, doszukując się w tych mikroskopijnych rzeźbkach formy, proporcji i wyrazu.

Zaczęłam rzeźbić medaliki — główki Madonny w rodzaju kamei — z białych szczotek. Czasem były to miniaturowe wypukłorzeźby. Bardzo pożądane były trzonki szczątek dwu lub wielowarstwowe. Wychodziły z tego ładne medaliki i rzngrafy, często nawet dwustronne.



Robiłam także krucyfiksy, ale praca ta zabierała wiele czasu i trudno było wyrzeźbić z maleńkiego kawałka — krzyż i postać Chrystusa, toteż wolałam rzeźbić Głowy Chrystusa w medalione.

Kiedyś dostałam duży, biały grzebień, z którego wyrzeźbiłam kilka rzeczy, między innymi Madonnę, stojącą pod krzyżem z rozpiętym Chrystusem.

Prócz dewocjonalii rzeźbiłam także drobiazgi o tematach patriotycznych, jak orły itd. Następnie medalioniki z podobiznami sławnych Polaków, np. Mickiewicza, Słowackiego, Kościuszki itd. Później zaczęłam robić w płaskorzeźbach portreciki koleżanek.

Osobną zupełnie grupę, stanowiły maskotki. Tu tematów było takie mnóstwo, że niesposób wszystkich wyliczyć. Kominiarczyki, murzynki, diabełki, różne figurki dziecięce itd. Figurki regionalne; górnicy, łyżwiarki, narciarze, dalej jakieś kolombiny, pierroty, rusałki. Cały świat baśni — krasnoludków, kapturków, muchomorów, czarownic, wszystko można było wyczarować z małego kawałeczka szczotki.

Była to już moja „wolna twórczość“, a nie „odwołalnie“ wciąż jednakowych, zamówionych medalików, które w końcu, muszę się przyznać, znienawidziłam. Do jednych z najładniejszych rzeczy tego rodzaju zaliczam figurkę Wenus i maleńkiego, klęczącego amorka (wielkości małego paznokcia), którego dłubałam prawie cały tydzień.

Nie umiałam tylko rzeźbić zwierząt, to nie była moja specjalność, czasem tylko z trudem udało mi się zrobić jakiegoś smutnego słonia z ponuro zwieszoną trąbą.

Okresem największej wydajności mojej pracy „artystycznej“, to był pobyt w U-baraku pod opieką p. Liberakowej. Byłam tam ogólnie znana i pilnie strzeżona przez wszystkie współtowarzyszki — nawet Niemki ostrzegały mnie przed ausierką. Mimo to jednak dozorczyni dowiedziała się jakoś o tej mojej „działalności“, a nawet widziała jakiś sabotażyk.

Chociaż nigdy nie mogła mnie złapać na gorącym uczynku, jednak zajęła się mną gorliwie, zaszczycając mnie swoją bliskością.

Wreszcie kiedyś zdarzył się wypadek, który o mało nie zakończył się b. przykro.

Pewnego popołudnia siedziałam, strugając jakieś nowe cacko. Byłam tak zaabsorbowana, że nie zauważyłam, jak i kiedy większość więźniarek wyszła, aby nosić materiały do magazynu.

W baraku zrobiło się prawie pusto. Nagle usłyszałam nad sobą wrzask:

„Was machts du hier?!“

Jak rażona piorunem podniosłam głowę — przede mną stał sam Binder, najgorszy pies SS-mański w betriebach. — „nichts“ — wyjąkałam, nie wiedząc co mówię i jednocześnie rozległ się brzęk padającego scyzoryka. W jednej chwili zobaczyłam podniesioną nad sobą łapę i usłyszałam naglący głos ausierki za oknem — „Herr Binder!“

Musiał odejść, wygrażając coś jeszcze pod moim adresem. Jakaś awantura z materiałami uratowała mnie od meldunku i zbicia, gdyż cudem poprostu, zapomniał po tym o mnie.

Dłużej jednak nie mogłam ryzykować i musiałam, zwiewając z U-baraku zgłosić się do pracy na „aussen“.

Następnym lepszym okresem w moim życiu obozowym, była praca w t. zw. „lade kommando“, czyli kolumnie transportowej. Wprawdzie ciężka, ale dorywcza, z przerwami, pozwoliła mi powrócić do ulubionego zajęcia. Kolumna ta miała jeszcze jedną ważną zaletę — dała nam możność skontaktowania się ze stalagie'm polskim w Wenstrelitz. Jeździłyśmy tam co poniedziałek. Tamtędy szły wszystkie nasze listy na lewo i wszystkie wiadomości o tym, co się działo w obozie.

Zbliżała się Gwiazdka 43 roku. Chłopców w stalagu było trzydziestu sześciu i 36 różnych „sabotażyków“, każdy inny, przygotowałam im na prezent gwiazdkowy. Do każdego drobiazgu przyczepiony był jakiś wierszyk, wszystko ładnie opakowane.

Im to właśnie posłałam swego małego amorka, z wierszykiem, zapożyczonym bodajże od sienkiewiczowskiej Krysi:

„Wierzcie rycerze — na nic pancerze,
Na nic się tarcze zdały,
Przez stal, żelazo — wserce się wrażą,
Kupida ostre strzały!...“

Niestety, nie miałam możności sprawdzić, czy i jaki pancerz przebiły strzały mego kupidynka, bo już nie zobaczyłyśmy więcej naszych chłopców.

Ten epizod bezpośredniego kontaktu z rodakami był jedyną, jasną chwilą obozowej makabry i do dziś pozostał miłym wspomnieniem. Jako pamiątka po chłopcach z Neu — pozostał mi scyzoryk, kilka świeczek parafinowych i kilka płytek szkła lotniczego.

Świeczki stopiłam i z parafiny wystrugałam figurki do szopki.

Do szkła lotniczego długo nie mogłam się zabrać. Egzekucje, selekcje, głód, — Powstanie Warszawskie, transporty do fabryk — nie sposób było myśleć o „sabotażykach“.

Marzyłam o wyrzeźbieniu Kory i Demeter, i zbudowaniu malutkiej scenki do „Nocy Listopadowej“ Wyspiańskiego.

Nie zdążyłam. Historia zbudowała w teatrze świata inną scenę. Wielką scenę zakończenia wojny.

Niekiedy przeżycia z okresu wojny, nadawały jakiemuś życiu inny zupełnie kierunek. Tak stało się ze mną.

Śmieszne, nic nieznaczące napozór dłubanie scyzorykiem w trzonkach od szczotek do zębów, wyzwoliło we mnie nieznane dotychczas pragnienie tworzenia kształtów, ukochanie formy plastycznej, bryły.

I dziś, studiując rzeźbę, swoje pierwsze drobiazgi, wspominam z sentymentem, gdyż dały mi możność poznania Sztuki, która stała się dla mnie celem.

P. K. Z.

Śmierć w obozie



„Dzieci w obozie“

KRZYŚ

Kiedy matkę Krzysia chwyciły bóle porodowe, kazano jej przejść na piec.

Piec na kształt szerokiej ławy biegł środkiem baraku szpitalnego i służył do wszystkiego. Na piecu badano przybyłe chore; robiono opatrunki. W czasie „selekcji“ chore, rozebrane do naga na piecu czekały wyroku: śmierć lub życie. Nocami na piecu chrapała „nachtwacha“, nie słysząc rozpaczliwych wołań: „Nocznik! Nocznik“! A u obu końców „ławy“, w ogromnych paleniskach pod wysokimi kominami — buzował ogień, na którym personel szpitala gotował potajemnie kartofle.

Na piecu też rodziły się dzieci.

Więc i matka Krzysia poszła na piec. Położyła się na nagiej cegle i czekała. Siostra Klara, gruba Niemka, odsiadująca już siódmy rok za „fabrykację aniołków“, podeszła do położnicy, zbadała ją pobieżnie, a że to jeszcze nie był czas, usiadła w nogach chorej i zabrała się do jedzenia barszczu tylko co wyjętego z pieca.

Choć noc była późna chore pounosiły się na łóżkach i podparte łokciami, patrzyły na piec, jak na scenę. Żółte światło jedynej lampki skupiało promienie na rozkraczonych kolanach położnicy i na misce pełnej czerwonego barszczu. Chora pojękiwała z cicha, akuszerka mlaskała ze smakiem. Oblizała łyżkę i znowu przystąpiła do chorej. Nacisnęła brzuch, wymacała główkę dziecka — za chwilę jej szeroki tył przysłonił chorą. Ręce sprawnie gniotły wzniesiony brzuch, chora krzyknęła ostro raz i drugi. Siostra Klara, rozpromieniona i spocona, już trzymała w ręku wrzeszczące, czerwone dziecko. Kobiety z łóżek biły brawo, jak z galerii. Chyba nikt na świecie tak nie potrafił odbierać dziecka, jak siostra Klara! Kobiety wcale się nie męczyły. Poród trwał kilka minut.

— Siostro — zajęczała chora — siostro!

— Was? — warknęła, trzymając jeszcze w ręku dziecko.

— Nie zabierajcie mi go dzisiaj. Zostawcie mi go tylko do rana. Zawsze marzyłam o synu. Miał mieć Krzyś na imię. Po moim ojcu. Siostro!

Niemka zamyśliła się chwilę, spojrzała na położnicę. Była taka młodziutka i blada, tak błagalnie patrzyła. To była dobra, niegrymaśna chora. Chyba o tej porze nie będzie żadnego „besuchu“, można podać, że dziecko przyszło na świat rano...

— Gut! — zawyrokowała, oddając niemowlę w ręce matki.

Pięć godzin swego życia Krzyś przeżył w ramionach matki, która przez całą noc nie odrywała wzroku od łysej głowiny i maleńkich piąstek.

Nasycała oczy tym jedynym widokiem i rosła w niej miłość tym silniejsza, że każda minuta zbliżała ich do rozstania.

Małe szybki w dachu zalśniły głębokim szafirem i zwolna bladły. Przez blok przebiegły pielęgniarki z hukiem wiader. Zamiatano, zmywano podłogi. Dzień się rozpoczął.

Matka Krzysia usiłowała nie słyszeć tych wszystkich odgłosów, brzmiących jak wyrok. Trzymała dziecko z całej siły, całą duszę skupiła w rękach, odczuwających ciężar maleńkiego ciałka. Nie odda go! Ale już zaspana siostra Klara stała przed nią:

— Kind!

Chora jeszcze mocniej przytuliła dziecko.

— Los, los! — niecierpliwiła się Niemka i wyciągnęła ręce. Chwilę szarpały się w milczeniu. Zbudzone niemowlę rozkrzyczało się żałośnie... Matka opuściła puste, bezwładne ręce, opadła na posłanie i zastygła w jakimś osłupiałym milczeniu.

Niemka poszła w koniec baraku, odnalazła kibel, wypełniony krwawymi odchodami. Dziecko, rzucone główką w dół, pisnęło raz, jak topione szczenię.

Stało się to o godz. 6, a o 7 zawrzało na bloku. Z ust do ust podawano sobie nowinę, że o godz. 6.30 przyszedł rozkaz, iż od dzisiaj nie wolno zabijać noworodków „aryjskich“. Był to marzec 1943 r.

... Tego dnia i przez całą noc chore na położniczym 24 bloku nie mogły zasnąć ani na chwilę. Sale wypełniało dzikie, obłąkane wycie, głuszące nawet krzyki położnic i rzężenie konających. Tak krzyczała Krzysia matka.

Krystyna Wigura

Człowiek wielkiej wiary

Wspomnienie o ś. p. Józefie Wasowskim

Dnia 21 października po długotrwałej chorobie zmarł w Warszawie prof. Józef Wasowski, wybitny publicysta i essatysta, prezes Związku Zawodowego Dziennikarzy Polskich, profesor Akademii Nauk Politycznych poseł na Sejm z ramienia Towarzystwa Demokratycznego.

Ś. P. Józef Wasowski był człowiekiem niepospolitej kultury, wychowawcą nowych pokoleń dziennikarskich, niestrudzonym rzecznikiem postępu i demokracji.

Józef Wasowski urodził się w Płocku w roku 1885. Po ukończeniu szkoły średniej studiował w Paryżu w Ecole de Science Politique i Colege de Science Sociale. Pracę dziennikarską rozpoczął w roku 1906 jako korespondent paryskiej „Nowej Gazety“ i „Niwy Polskiej“.

W roku 1912 objął naczelną redakcję pisma „Widnokrąg“. Podczas wojny pracował w Radzie Stanu i był kierownikiem Wydz. Prasowego w MSZ. Był współzałożycielem i naczelnym redaktorem PAP w latach 1925 — 1932, pisując jednocześnie felietony do Kuriera Polskiego.

W roku 1933 prof. Wasowski zakłada walczący nieustannie o postęp tygodnik „Epoka“. W ciągu 16 lat jest profesorem Wyższej Szkoły Dziennikarskiej.

Bezpośrednio po uwolnieniu ziemi Lubelskiej Józef Wasowski powraca do pracy zawodowej. Zostaje wówczas dyrektorem departamentu prasowego Min. Informacji i Propagandy, następnie zostaje naczelnym redaktorem „Kuriera Codziennego“.

Jest posłem do KRN a następnie posłem do Sejmu Ustawodawczego z ramienia Stronnictwa Demokratycznego. W roku 1945 zostaje wybrany prezesem Związku Dziennikarzy.

Na dorobek pisarski prof. Wasowskiego, oprócz niezliczonych felietonów składa się 16 książek i broszur.

Prof. Wasowski zamieszczał również swoje felietony na łamach „Wolnych Ludzi“.

CZŁOWIEK WIELKIEJ WIARY

Według starodawnego wierzenia chińskiego, jeżeli człowiek wśród największego wiru życia, wśród zgiełku i hałasu miejsca publicznego, odwróci się od tłumu i rękami zakryje oczy na parę minut, osiągnie wyższy stan ducha. Przez skupienie, przez ciszę wewnętrzną...

Trzeba od czasu do czasu tak zakryć oczy. Im życie trudniejsze, im walka o byt cięższa, im targowisko życia hałaśliwsze, tym cenniejsze są chwile ciszy, kiedy człowiek w tłumie — we wszelkim tłumie zagubiony odnajduje siebie“... Tak pisał ś. p. prof. Józef Wasowski, tak też myślał i czuł.

Podczas najcięższych przejść i krwawego haosu wojny potrafił, zasłoniwszy oczy rękami, na wszelkie zło tego świata spojrzeć w głąb siebie, by za chwilę rzucić przed ludźmi snop światła, które odnalazł w swej głębi.

Starał się nie widzieć nieprawości, starał się tłumaczyć każdy zbrodniczy czyn wierząc głęboko w ukrytą potęgę utajonej dobroci natury ludzkiej. Był może ostatnim z tego pokolenia wielkich romantyków, którzy w znojnej, pełnej zaparcia się pracy budowali nowy i lepszy świat.

Profesora Wasowskiego poznałem w roku 1929, kiedy jako młody student Wyższej Szkoły Dziennikarskiej znalazłem się po raz pierwszy na jego wykładzie. Stał na katedrze lekko pochylony w stronę audytorium i patrzył uważnie na studentów zdając się przenikać każdego z osobna. Potem zaczął mówić. Spokojnym opanowanym głosem rzucał zdania wycyzelowane mistrzowsko, pełne głębokiej treści. Stawiał przed oczyma słuchaczy ucieleśnione w słowach trzy — jak je nazywał — sprzymierzone potęgi, które winny rządzić światem. Naukę, Sztukę i Kulturę. Wierzył w ich niezniszczalność i moc. Od czasu do czasu zabłyskał niespodziewanym dowcipem, wnikliwym i ostrym, obnażającym utajone słabości ludzkie.

Wykłady profesora Wasowskiego były dla studentów prawdziwą ucztą intelektualną. Nie było zagadnień, których by nie poruszył, nie było problemów, które nie warte by były zastanowienia i poznania. Głęboka erudycja, dar słowa i najszlachetniejszego gatunku patos, cechowały każdy jego wykład. Toteż na prelekcje profesora Wasowskiego przychodzili studenci ze wszystkich niemal uczelni warszawskich. Sala była zawsze zapełniona po brzegi. Ludzie obsiadali okna, cisnęli się w przejściach między stołami, tłoczyli się w drzwiach, by nie uronić ani słowa z tego co mówił. Nierzadko przychodzili słuchać wykładów profesora jego starzy przyjaciele. Często wciśniętego w gromadzie studentów ujrzeć tu było można drobnego i ruchliwego dziennikarza - poetę Tadeusza Hiża, utalentowanego pianistę - muzyka z Bożej Łaski Karola Szustra, filozofa - kpiarza Franciszka Fiszera lub intelektualistę malarza i literata Cezarego Popławskiego.

Wojna i okupacja stały się dalszym natchnieniem dla twórczości prof. Wasowskiego. Z małych umieszczonych na łamach prasy felietoników powstała w roku 1946 książka „Człowiek, Naród, Ludzkość“, oraz broszura nosząca znamienny tytuł „Z pamiętnika wojennego“. Obie te prace starają się wytłumaczyć wszystkie na pozór niezrozumiałe zjawiska najcięższego okresu ludzkości. Tchnie z z nich nieustająca i głęboka wiara w zwycięstwo Dobroci i Mądrości.

W tym okresie Józef Wasowski pozostał sam jeden spośród gromady towarzyszy swoich — jak je nazywał — uczt duchowych, lecz ożywiony niegasnącą i głęboką wiarą rozpoczął szukanie nowego człowieka. Starał się go kształtować według swojej miary w młodym pokoleniu studentów wydziału dziennikarskiego Akademii Nauk Politycznych, gdzie objął katedrę samokształcenia i techniki pracy dziennikarskiej.

Ciężko chory w ostatnich dniach swego pracowitego życia wezwał mnie do siebie. Siedział otulony kocem, na łóżku mimo nękających go cierpień, pełen jeszcze zapału twórczego i jasnej myśli.

Zaczął mówić o swej pracy na wydziale, planach wykładów i seminariów i młodzieży.

To doskonały element powiedział — przeszli wiele, zrozumieli rzeczywistość i prawdę, można z nich zrobić wiele.

Ś. p. Józef Wasowski wierzył do końca w nowy lepszy świat i nieprzemijające wartości natury ludzkiej.

ANDRZEJ KOBYŁECKI

Ś. p. Stefan Jaracz w Oświęcimiu



Fotografia z akt Gestapo

J. JAŚNIACHÓWNA

ZADUSZKI

Pośród jarzębin gasnących szkarłatów
szeleści pacierz konających kwiatów.
Kołują z wiatrem mokre, żółte liście,
wylękłym drzewom śni się nocą czyściec...
Godziny w bezdeń i ciszę zaświatów
odchodzą zwolna szmerliwie, złociście...
Czas już w ustronia podążyć cmentarne,
by wszystkie cisze do serca przygarnąć
i umiłować z poza światów cienie
i opłakiwać próchno nieistnienia
i w noc jesienną, bezgwiezdną i czarną
rzeczy zdeptanych błagać przebaczenia...
A gdy powstaną męką okupione
z otchłani czasu, jak dusze zbawione,
życia nowego zagrobnym świtaniem
wraz z nimi święcić Wielkie Zmartwychwstanie...

Stutthof — miejsce męki



Meier, gł. oskarżony, komendant Stutthofu

OD 8 października toczy się w Gdańskim Sądzie Okręgowym drugi z kolei proces przeciwko kilkudziesięciu zbrodniarzom z obozu koncentracyjnego w Stutthoffie. Oskarżeni podzieleni zostali na trzy grupy. Pierwsza z nich — 26 zbrodniarzy, znajduje się obecnie na ławie oskarżonych.

Sala Sądu wypełniona publicznością po brzegi. Duży procent stanowią b. więźniowie. Oprawcy stutthowscy ponuro patrzą z ławy oskarżonych. Dreszcz grozy wstrząsa gdy się patrzy na ich twarze napiętnowane zbrodnią i zwierzęcym lękiem.

„CZYSTE RĘCE“ LAGERFUEHRERA MEIERA

Zastępca komendanta obozu, *Teodor MEIER* oczywiście do winy się nie przyznaje. Jest do głębi oburzony aktem oskarżenia, który zawiera tak wielkie zbrodnie. Twierdzi z naciskiem, że dbał o więźniów i starał się o powiększenie racji żywności. Więźniowie kradli kartofle nie z głodu, lecz do produkcji bimbru. Udziału w egzekucjach nie brał. „Moje ręce są czyste“ zapewnia gorąco.

Zupełnie inaczej przedstawia się jego sylwetka w świetle zeznań świadków. Wszyscy twierdzą, że Meier był panem życia i śmierci więźniów. Katował i mordował ich własnoręcznie. I tak np. zabił więźnia Cilkowskiego wystrzałeb w tył głowy, a więźniarkę sowiecką zastrzelił w drodze do krematorium. Inne spadochroniarki sowieckie kazał zabić zastrzykami.

Uczestnikom Powstania Warszawskiego, oświadczył, że uważa ich za bandytów zasługujących na wystrzelanie, następnie nakazał im zmienić mundury wojskowe na pasiaki i wysłał do pracy. Świadkowie zeznają zgodnie, że Meier był jednym z najgroźniejszych dozorców w obozie i jako komendant jest odpowiedzialny za to co się tam działo.

„NAJLEPSZY STRZELEC POTYLICY“

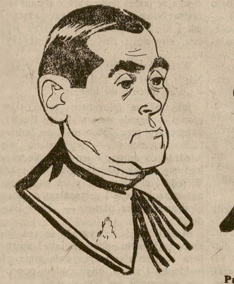
Na takie to miano w obozie zasłużył sobie *oberscharfuehrer* FOTH. Ten rudy sadysta, o tępej, nalanej twarzy, miał indywidualne metody dręczenia i zabijania. Inscenizuje poradnię lekarską dla Żydówek, gdzie ubrany w biały fartuch stosuje niezawodne lekarstwo na wszystkie choroby — celny strzał w potylicę. Zimą wyprowadza chorych na świerzb więźniów nago przed blok, po czym zdziera im krosty miotłą.

Założywszy się o paczkę papierosów, że zabije więźnia jednym uderzeniem pięści, zakład ten wygrywa. Sam przeprowadza selekcję Żydówek do komór gazowych, a podczas egzekucji w krematorium wystrzałem z pistoletu zabija kobiety. Prawie codziennie ginęło w ten sposób od 30 do 40 osób. Oskarżony przyznaje się jedynie do jednego wypadku, kiedy to zabił więźnia na polecenie Meiera.

Następny oskarżony *Fric PETERS* przyznaje się, że niekiedy policzkował więźniów. Krótką pamięć ma również ten spec od strzelania w potylicę, nie pamięta już jak chwalił się, że zastrzelił własnoręcznie 380 więźniów. Szczegółowy przewód sądowy udowadnia mu zabójstwo 5 więźniów i spalenie 16 w krematorium.

MAŁY, ŁAGODNY PIESEK

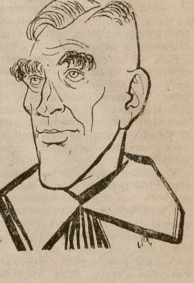
Karl ZURREL wygląda potulnie, w mordowaniu wyręczały go psy, które z zamiłowaniem tresował do zagryza-



Prokurator Bruliński



Przewodniczący Trybunału sędzia Gmitrzak



Prokurator Stachurski



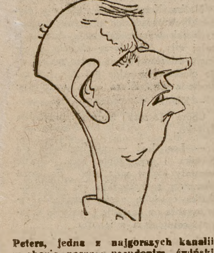
Both blockführer



Obozowy Paulitz



Kierownik krematorium Hans Rach



Peters, jedna z najgorszych kanalii w obozie, noszący pseudonim „świński ryj“.



Wenzel SS-wachman.

Hitlerowscy „prawnicy“ odpowiadają za popełnione zbrodnie

Na ławie oskarżonych w Wojskowym Trybunale w Norymberdze zasiadają od pewnego czasu czołowi prawnicy narodowo - sojalistyczni, szczególnie sędziowie hitlerowscy tzw: sądów ludowych. Wśród oskarżonych znajduje się kilku sędziów, którzy wyrokowali w sprawach uczestników zamachu na Hitlera w lipcu 1944 r.

W czasie procesu wyświetlano film dokumentarny, stanowiący doskonały środek dowodowy przeciwko oskarżonym. Film ten nakręcony został na specjalne życzenie samego Führera i przedstawia przebieg „procesu“ przeciwko episkowcowi, gen. Witzlebenowi i towarzyszom.

W osobliwym tym procesie nie było obrońców, ani też postępowania, któreby w przybliżeniu chociaż przypominało przewód sądowy w cywilizowanym państwie. Hitlerowscy sędziowie bez przerwy krzyczeli i wymyślali oskarżonym od świń, psów i t. p. Po takim „postępowaniu dowodowym“ wydano wyroki śmierci na wszystkich oskarżonych. Powieszono ich w piwnicy na hakach rzeźniczych, przeznaczonych do zawieszania ubitych sztuk świń. Na filmie, który polecił nakręcić Hitler, aby go później obejrzeć, przedstawiona jest również scena egzekucji. Po wyświetleniu filmu dokumentalnego jeden z oskarżonych, były sędzia hitlerowski, Lautz, powiedział na głos: „To było okropne“:

W procesie czołowych narodowo-socjalistycznych prawników występuje adwokat Marks, obrońca głównego zbrodniarza wojennego, skazanego na śmierć przez Międzynarodowy Trybunał w Norymberdze, Juliusza Streichera.

W procesie tym ujawniono, iż morale niemieckich obrońców niewiele odbiega od moralności zbrodniarzy hitlerowskich, siedzących na ławie oskarżonych. Okazało się bowiem, że adw. Marks w procesie prawników nakłaniał jednego ze świadków do złożenia fałszywych zeznań. Amerykański Hrybunał Wojskowy skazał go za to na 30 dni aresztu. i skreślił z listy adwokatów niemieckich, uprawnionych do występowania przed sądami amerykańskimi.

CZESŁAW STANISŁAWSKI

Partyzanckim szlakiem

Na bezdrożach niedostępnych lasów lubelskiego i kieleckiego Województwa

Dobrze zrobiło Biuro Historyczne Wojska Polskiego, organizując wycieczkę Prasową na tereny, które od pierwszych dni kampanii niemieckiej stanęło do walki przeciwko okupantowi, łamiąc jego potęgę na wszystkich szlakach komunikacyjnych.

Dobrze się stało — mówię — gdyż wreszcie poznamy prawdę, jak to istotnie Naród, w pełnym tego słowa znaczeniu, udział brał w zwalczaniu wszystkiego, co pachniało hitleryzmem i faszyzmem. W pierwszych szeregach bojowników o Nową Polskę, o Polskę Demokratyczną i ludową stanęli przede wszystkim ludzie, którzy zdawali sobie jasno sprawę, że kiedyś Polska będzie musiała być inna. Nie Sławojkowskie białe płoty i sztucznie stworzone chałupy z również sztucznie zbudowanymi „ubikacjami“ mogły stworzyć rzeczywistość polską. Nie sztucznie wmawiane w lud słowa entuzjazmu mogły w ludziach tym pobudzić miłość do ziemi. Tylko realna praca, praca twórcza mogła rozentuzjazmować tych wszystkich, którzy miłość do ziemi polskiej bezprzykładną pracą udowodnili.

My, b. więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych więcej, aniżeli kto inny doceniamy wartość pracy partyzantów, którzy ramię przy ramieniu z nami stawali do czynnej walki przeciwko tym wszystkim czynnikom, które wypowiedziały walkę Polsce.

A Polską byliśmy wówczas my wszyscy, którzy nie godziliśmy się z jakąkolwiek współpracą z Niemcami.

Były różne działy walki z hitlerowskim okupantem.

Najgłówniejszą grupę tworzyły oddziały, które w późniejszych latach znane były już jako oddziały Gwardii Ludowej.

Oddziały te oddały nieocenione zasługi przyszłej Armii Polskiej.

Co to jest Gwardia Ludowa?

Tomów całych trzebaby, by o powstaniu oddziałów tych pisać. Wystarczy powiedzieć, że na czele ruchu oddziałów tych stanęli przedwojenni przywódcy mas chłopskich, świadomi swej roli i świadomi tego, że nadszedł czas, by chłopa polskiego wyprowadzić z „domu niewoli“. Na czele akcji wyzwoleńczej stanęli wytrawni bojowcy ludowi.

Gnębił nas Prusak okrutny. Nic dziwnego, że trzeba było gdzieś tam ulokować się, by zorganizować pewne oddziały, które mogłyby czynnie przeciwstawić się napastnikowi.

Jedną z głównych walk partyzanckich stoczono pod Kochanami.

Całością oddziałów polskich dowodził pod Kochanami płk. Grzybowski (pseudonim „Orzeł“). Ponadto dowódcami poszczególnych oddziałów byli m. in.: Antoni Palenia (pseudonim „Jastrząb“), Władysław Bieniek, obecny wiceminister Rolnictwa (ps. „Szeli“), mjr. Wacław Czyżewski „Jim“, Tadeusz Szymański (ps. Lis), Kowalski (ps. Cleń) i „Leon“, obecny starosta lubelski Jan Pytel. Na uzbrojenie oddziałów składało się: 7 RKM-ów, 80 karabinów różnego typu oraz pistolety. Część partyzantów uzbrojona była tylko w granaty. Mimo różnorodności środowisk z jakich rekrutowali się członkowie oddziałów, byli oni związani węzłami szczerego koleżeństwa. Oddziały odznaczały się wzorową karnością i posłuszeństwem wobec zwierzchników, opartym na bezgranicznym zaufaniu.

W przeddzień bitwy — 21.10.1943 r. — sztab partyzancki otrzymał szereg meldunków o dużych siłach niemieckich okrążających lasy. Meldunki te spowodowały zwinięcie obozu i przesunięcie oddziałów na skraj lasu w okolicy wsi Kochany. Przed południem obsadzono stanowiska obronne na przestrzeni ok. 600 mtr. i starannie zamaskowano pozycje RKM-ów. Jeszcze w czasie zajmowania stanowisk nadleciały samoloty niemieckie, które zbombardowały i otrzeliwały z karabinów maszynowych środek lasu.

Oto jak opowiada starosta lubelski — Jan Pytel — „Leon“ dalszy ciąg akcji:

W pół godziny po zajęciu stanowisk z odległości o 500 metrów niewielkiego zagajnika wynurzyły się pierwsze oddziały niemieckie. Nieprzyjaciel idzie ławą i otwiera odrazu chaotyczny, lecz gęsty ogień. Niemcy wrzeszczą przy tym dla dodania sobie odwagi, podnieceni prawdopodobnie alkoholem, którego w takich wypadkach nie szczędziło żołnierzom niemieckie dowództwo. Przestrzeń między nacierającymi Niemcami a naszymi stanowiskami zmniejsza się coraz bardziej. Nasza linia zachowuje jednak całkowitą ciszę. Dopiero gdy pierwsi Niemcy zbliżają się na odległość 15 mtr. — głośny dowódcy „ognia“ przerywa ciszę. W jednej chwili linie polskie rozgrzmiały kanonadą i hukiem wybuchających granatów. Ogień nasz praży Niemców wprost w twarze. Skutki jego były straszliwe. Przedpole pokrywa się gęsto niemieckimi trupami. W szeregach nieprzyjaciela powstaje zamieszanie. Wówczas pada rozkaz podrywający gwardzistów do ataku. Butni przed chwilą Niemcy nie wytrzymują uderzenia gwardzistów i zmykają jak zające. Partyzanci uzupełniają swoje uzbrojenie, zbierając porzucone automaty, granaty i amunicję. Natarcie polskie prze naprzód jak burza poprzez zagajniki, rów aż pod tor kolejki, gdy nagle morderczy ogień CKM-ów drugiej linii niemieckiej przygina nasze szeregi do ziemi.

Z lewej strony widzę młodego gwardzistę „Wilka“, który był w oddziale dopiero od kilku dni. Padł z przestrzeloną głową z twarzą w dół. Ziemia barwi się na czerwono strumieniem krwi. Przykład dowódców podrywa oddziały znów na nogi. Atakujemy nasyp kolejki, obrzucając go granatami. Z boku słyszę głośne hurra! To nasi dopadli gniazd CKM-ów niemieckich, wybijając ich obsługę. Osłabły chwilowo ogień niemiecki po chwili znów wzrasta, tym razem z prawej strony. W moich oczach ginie gwardzista „Ryś“, pada ciężko ranny porucznik „Jastrząb“. Z tyłu, z głębi opuszczonego przez lasu słychać salwy karabinowe. Pada komenda: wycofywać się w lewo. Ostrzeliwując się gęsto ciągniemy zdobyty CKM. Po drodze porywam karabin jakiegoś zabitego Niemca. W sam czas — bowiem w tej chwili spostrzegam drugiego Niemca, który leżąc za pagórkiem odbezpiecza granat. Z klęczącej pozycji strzelam ze zdobytego karabinu. Trafiony Niemiec stacza się w dół.

Prowadzący akcję płk. Grabowski, orientując się po nasileniu ognia, że na teren walki przybywają wciąż nowe niemieckie formacje, przebojem wyprowadza oddział z okrążenia. Zabieramy rannych, niosąc ich na zmianę.

Tyle uczestnik akcji Jan Pytel — „Leon“. Partyzanci wycofali się przez stawy i bagna do lasów gościeradowskich. Okazało się po tym, że 6 tysięcy Niemców, uzbrojonych w broń pancerną, działa i samochody miało za zadanie zlikwidować oddziały Gwardii Ludowej, liczące paruset ludzi. Natarcie polskie — dzięki skoncentrowaniu całej siły ognia w jednym miejscu i brawurowemu atakowi — rozbiło linię okrążenia niemieckiego. Organ Gwardii Ludowej „Gwardzista“ może ze słuszną dumą ogłosił w numerze z dnia 20 listopada 1943 r., że „pod brawurowym uderzeniem żołnierzy polskich, Niemcy tłumnie rzucili się do ucieczki“.

Według pewnych danych w bitwie tej Niemcy ponieśli duże straty. 6 ciężarówek zabitych i rannych odwieźli z placu boju. Nic dziwnego, że oddziały niemieckie przeszły szybko w inny teren, dzięki czemu gwardziści mogli niebawem wrócić w lasy lipskie. Straty polskie wyniosły 2 zabitych i 7 rannych. Partyzanci zdobyli radiostację, ciężkie i lekkie karabiny maszynowe, wiele amunicji i inny sprzęt.

* * *

Dla uczczenia rocznicy bitwy pod Kochanami odbyły się 26 października uroczystości na tej samej polance, z której wyszedł atak gwardzistów na Niemców. Na polance tej mieszka jeszcze staruszka ob. Krakowska, bezpośredni świadek bitwy, zwana powszechnie „babcią partyzancką“.

Czy nam wolno zapominać?

Wydaje się, że przeoczyliśmy spełnienie bardzo poważnego obowiązku. O ile wiem poza tłumaczeniem „Dymów nad Birkenau“ nie ma dotąd ani jednego zbioru dokumentów, dot. Oświęcimia w żadnym języku obcym.

To tragiczne wyróżnienie, że na naszej ziemi znajdował się jeden z największych i najokrutniejszych międzynarodowych obozów — obowiązuje. To prawda, że klimat polityczny jest mało odpowiedni do tego rodzaju publikacyj. Ani sami Niemcy, ani ich anglosascy protektorzy nie chcą wracać do obrachunków z przeszłością. I dzisiejszość jest dla nich na to zbyt trudna i przyszłość zbyt niejasna. Dla jednych Norymberga zamknęła rachunki, dla innych i Norymbergi było i jest za dużo.

To nas nie zwalnia jednak z obowiązku przedłożenia światu dokumentów, jakimi my tylko sami rozporządzamy. Nie chcemy żadnych literackich opracowań. Tylko fakty, cyfry, daty i fotografie. One będą miały lepszą wymowę.

Dlaczego stenogram z procesu Hoessa, procesu którego przebieg był tłumaczony w czasie przebiegu rozprawy na 3 języki obce, nie został dotychczas wydany drukiem przynajmniej w 3 językach europejskich?

Wkrótce rozpoczyna się proces załogi Oświęcimia w Krakowie, zeznania oskarżonych i świadków mają znowu być tłumaczone na języki obce na użytek korespondentów zagranicznych, którzy wyślą do swoich dzienników kilkunastowierszowe wzmianki.

Czy nie możnaby na proces krakowski zaangażować tłumaczy nieco mniej nieudolnych niż ci co jąkali się i przekręcali sens słów na procesie Hoessa i pracę ich utrwalić w stenogramach, aby posłużyła za materiał do opracowania wydawnictwa „Czem był Oświęcim?“

Będzie to oczywiście wielki koszt, gdyż publikacja ta jeżeli ma wogóle spełnić swoje zadanie musi stać na najwyższym poziomie zarówno pod względem redakcyjnym jak i szaty zewnętrznej. Ale zrobić to musimy. Im prędzej tym lepiej. Dla nas i dla świata.

To jesteśmy winni cieniom pomordowanych w obozie oświęcimskim, a także — przyszłym pokoleniom.

Warszawa, Zaduszki 1947 r.

J. Z.

(nazwisko i adres znane redakcji)

TADEUSZ STUDZIŃSKI
(Jędrzejewski — Kurzawa)

Pierwszy most

(Fragment opowiadań p.t. »Partyzantka-królowa broni«)

Leżeliśmy z Żukiem na nieprzemakalnej celcie niemieckiej, przykryci jednym kocem. Leżeliśmy w mokrej trawie leśnego wyrębu, porosłego gęstwą młodych dębczaków. Trochę niżej, w parowie, spali chłopcy. Wyglądali jak czarne toboły, bezładnie rzucone w krzaki. Trzech Rosjan: Andrejew, Grisza i Iwan oraz młody Niemiec z Wrocławia — Edward, byli ludźmi Żuka. Cała piątka, uzbrojona — za wyjątkiem Niemca — w pepesze, towarzyszyła mojemu oddziałowi, jako dodatkowa, zbrojna eskorta w długiej naszej wędrówce po żer i sławę. Moich ludzi było dziesięciu: Gryf, Halniak, Puma, Rózga, Promień, Szczepcio, Tońko, Roland i dwóch innych, których pseudonimów nie pamiętam. Wszystkich nas było zatem szesnastu.

Chłopcy spali snem czujnym i płytkim, jak leśne zwierzęta. Wystarczyło jednak cmoknąć lub poruszyć gałązką, a już ten i ów otwierał oko lub podnosił głowę. Po dwóch, trzech razem, kulili się z zimna do siebie, stanowiąc jedną mieszaninę rąk, nóg, broni i tobołków. Oburącz trzymali różnoraką broń, leżeli na niej lub obejmowali ją kolanami. Nie chrapał żaden, bo chrapać nie było wolno prawie nigdy, a dziś szczególnie.

— Promień, kopnij tego skórzanego syna, co tak chrapie koło ciebie — mówiło się półgłosem do sąsiada tego chłopca, który ośmielił się przez sen zapomnieć, że nie jest u mamy i zaczynał wydobywać charczenie z piersi, ciężko spracowanej nocnym marszem i dźwiganiem swej doli.

Promień, stuknięty butem w głowę, budził się i z kolei trącał nogą chrapiącego sąsiada. Tamten stęknął, oprzytomniał i zasypiał dalej na cicho.

Wyjątkowa ostrożność podyktowana była dziś wyjątkowo parszywym otoczeniem. Znajdowaliśmy się bowiem zaledwie kilka kilometrów od zachodnich granic Krakowa. Nasza stukilometrowa trasa marszu spod Żabiej Góry otarła się niemal o miasto, bo dzień wczorajszy spędziliśmy na leżach w Lasku Wolskim, niedaleko pięknego Klasztoru na Bielanach. Gościnność czarownego lasku jest wypróbowana i wysoce ceniona przez romantycznych Krakowian obojga płci, jednakże w regionalnych dziejach wojny partyzanckiej, nigdy chyba gościnność jego nie była narażona na tak żenujące towarzystwo, jak nasze wówczas. Orientuję się nieźle w czarnych szlakach partyzanckich Polski południowej, na obszarze od Babiej Góry do Przełęczy Dukielskiej i od Wisły po przez Tatry wgłąb Słowacji i wiem, że nocne ścieżki, łączące kocioł Miechowski z górami, przebiegały albo po linii Czerna — Tęczynek — Wisła, albo przechodziły Wisłę w okolicach Wieliczki. Przez Bielany nie prowadził żaden trakt. Człowiek lasu unika bowiem dużego miasta, jak zarazy. Poprostu źle się czuje w jego sąsiedztwie. Ale bardziej jeszcze stroni od przedmieść dużego miasta — twierdzy, z nieodgadnionymi nigdy niespodziankami. Wczoraj tak się jednak stało, że zamiast na gołym polu, woleliśmy przeleżeć pod Sowińcem.

i gniazdo zbrodni

Specjalnie dla „Wolnych Ludzi" rysował Julian Żebrowski



Ławnicy na procesie: Złotowski i Owczarek

nia więźniów. Wyszkolona przez niego kolumna składała się z 11 psów-wilczurów. Jego to „wychowanek" rozszarpał Rosjanina przywiązanego do drabiny i oświetlonego reflektorem na oczach wielu więźniów. Ten „Hundefuehrer" twierdzi, że miał tylko jednego psa „...i to był tylko taki mały, łagodny piesek" — zapewnia wśród śmiechu publiczności. Mały piesek Zurella jest charakterystyczny dla taktyki obrończej wszystkich zbrodniarzy niemieckich. Zbrodnie ich i bestialstwa to jedynie drobne, niewinne uchybienia.

Zeznania gestapowca *THUNA* są wykrętne i ostrożne. Na długo przed wojną należał do policji politycznej w Gdańsku i znany by na tym terenie jako wielki polakożerca. Ku oburzeniu sali sądowej twierdzi, że za jego służby w policji niemieckiej nie katowano aresztantów. W krzyżowym ogniu pytań prokuratora, przyznaje, że był mężem zaufania gestapo w obozie. On to podpisywał zezwolenia na spalenie zwłok więźniów.

MARYNARZ - DUSICIEL

Wyczerpujące zeznania składa były marynarz *NIKOLAYSEN*. Akt oskarżenia zarzuca mu, że pełniąc funkcję capo zadusił więźnia lekarza z Torunia i maltretował innych więźniów. Oskarżony zaprzecza temu stanowczo. Do Stutthofu dostał się za sabotaż organizowany na pancerniku „Bismarck" w obozie tym również była żona jego i teściowa jako Żydówki. Opisując życie w obozie obciąża poważnie Fotha Zurella i Petersa. W pewnym momencie zaciska z wściekłością swe ogromne pięści i chce rzucić się na Petersa, który zaprzecza jego zeznaniom.

W dalszym ciągu swych zeznań Nikolaysen twierdzi, że nigdy nie pełnił funkcji capo, natomiast był przez 10 dni pomocnikiem capo, więźniów nie bił a tylko brał udział w bójkach ze złodziejami i rzezimieszkami. Podważa zeznania Nikolaysena, oskarżony *WICHERN*, również były marynarz niemiecki, twierdząc z całą stanowczością, że Nikolaysen był capo i należał do SS, na co Nikolaysen oświadcza, że będąc policjantem obozowym wyprowadził 5 Żydówek z obozu do obozu uciekinierów, lecz zdradził go właśnie Wichern. Kobiety odprowadzono do krematorium skąd już nie wróciły.

„ŁAGODNE BARANKI"

Zeznania pozostałych oskarżonych na ogół nie odbiegają od szablonu. Wszyscy zaprzeczają jakoby dopuszczali się bicia, maltretowania i głodzenia więźniów. W zeznaniach przedstawiają siebie jako ludzi łagodnych i dobrze obchodzących się z więźniami.

W galerii świadków stają byli więźniowie Stutthofu. Zeznania ich potwierdzają w całej rozciągłości zarzuty aktu oskarżenia i budzą upiorne wspomnienia obozowe.

Groza wypełnia salę sądową, gdy słyszy się o „Fredzie" — oprawcy, który topił chorych w wannie szpitalnej za co otrzymywał porcję ryżu, czy też o umysłowo chorym Mazurze, któremu kazano zjadać żywe szczury i żaby, czy wreszcie o Niemcu Neidlu „leczącym" chorych zastrzykami fenolu.

GŁOS MA PROKURATOR

Zabiera głos prokurator Stachurski zajmując się dłużej osobą osk. Meiera.

Kłamstwem jest, że tylko z polecenia Berlina gazowano więźniów. Fabryka śmierci pracowała do roku 1944. Ilość zamordowanych więźniów w Stutthofie oblicza się na 80 tys. Niewiadomo jednak ilu było niezarejestrowanych, których likwidowano bezpośrednio po ich przybyciu do obozu. Forster oparł się na obozie Stutthowskim w celu sterroryzowania ludności polskiej, by wpisywała się na volksliste.

— Z blisko 7 tys. Polaków-gdańszczan, umieszczonych w pierwszych dniach wojny w Stutthofie, zostało przy życiu tylko 200. Okres życia ludzkiego w tym obozie trwał przeważnie kilka tygodni.

Wyrok

Sąd Okręgowy w Gdańsku uznał Teodora Meiera, Ewalda Fotha, Fritza, Petersa, Alberta Paulitza, Hansa Racha, Karola Zurella, Alfreda Nikolayssena, Kurta Dietricha, Karola Eggerta i Pawła Wellnitza, winnymi, że w czasie pomiędzy wrześniem 1939 roku, a kwietniem 1945 r. na terenie obozu koncentracyjnego w Stutthofie, zaś Peters ponadto w obozie na Westerplatte i w Potulicach, idąc na rękę władzy państwa niemieckiego, brali udział w dokonywaniu zabójstw więźniów różnej narodowości i jeńców oraz znęcali się nad nimi.

Sąd skazał każdego z wymienionych na karę śmierci. Z pozostałych oskarżonych Sąd skazał: Gotschaua na 10 lat więzienia oraz utratę praw na przeciąg lat 10-ciu, Emila Wentzla na 10 lat więzienia, Waltera Englerta na 3 lata, Jana Goertza na 8 lat, Adolfa Gramsa na 10 lat, Karola Regera, Marcina Stagla, Józefa Wenhardta i Adalberta Woltera, każdego z nich na 8 lat więzienia, Wernera Woellnitza na 10 lat, Eryka Thuna na dożywotnie więzienie, Wilhelma Voglera na 15 lat, Hugona Ziehma na 3 lata więzienia, Edwarda Zerlina na 12 lat.

Sąd uniewinnił Pawła Wicherna i Eryka Dobertina.

Halina Lesiewska



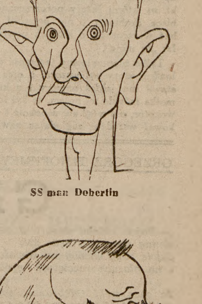
Komendant tzw. brygady psów Karl Zurell



Kapo Nikolaysen



SS-man Dietrich



SS-man Dobertin



Słynny Thun od „spraw politycznych"



Jeden z wielu SS-manów Stutthofu

ANATOL POTEMKOWSKI

Jak to było w Wiedniu

Amerykanie przylatywali przez cały marzec punktualnie w południe. Różnice były zupełnie minimalne: 11.50 — 12.05. Robili Stadtbahn, dworce, elektrownię tramwajową. Czekało się na nich każdego dnia, ale raczej z nawyku niż z istotnej emocji. Wszystko to było jeszcze za dalekie od nas.

Przed świętami wrócili „ausländerzy" z robót fortyfikacyjnych na granicy węgierskiej. Rosjanie ruszyli gdzieś spod Sopronu. To było już bardziej konkretne, ale jeszcze nie czuło się wolności przez skórę.

Zaczęło się właściwie nie wiadomo kiedy. Coś jak w lipcu 1944 r. w Warszawie! Najpierw dużo samochodów, potem bardzo dużo samochodów, potem...

Potem patrzyliśmy na siebie porozumiewawczo, szukając wzajemnie potwierdzenia swoich myśli. Czyżby to naprawdę mogło być już?

Zaraz po świętach ktoś znalazł na ulicy hakenkreuz. Kiedy opowiedział o tym, okazało się, że pięciu innych znalazło również. Taki dziwny przypadek. Drugiego dnia to samo. Byliśmy oczywiście mocno radzi, że wyrzucają, bo to niezawodnie dobry znak.

Sep Dietrich, który miał bronić Wiednia, wydał jakieś odezwy. Porozlepiano je na mieście obok napisów „W i r k a p i t u l i e r e n n i e!

...kobiety mają opuścić miasto... Wiedeń... twierdza... — tyle pamiętam.

Syreny alarmowe już przestały wyć, bo samoloty latają ciągle. Czasami niespodziewanie z jakiegoś dachu rąbnie w niebo ogłuszającą serią działko szybkostrzelne. Echo ostatnich strzałów dudni z reguły już w pustych ulicach, bo wiedeńczycy zawsze zdążą w międzyczasie nawiać do bram. Boją się własnej obrony przeciwlotniczej.

Boją się.

— Nie chcę wyjeżdżać z miasta mimo nakazu — mówi mi doktór fabryczny, z którym jestem „dobrze". Die Bolschewisten nie będą przecież mordować — jak pan sądzi? Przecież to chyba ludzie kulturalni...

Doktór zresztą nie jest wcale tak bardzo pewny tego, że nie będą mordować. Ma skupioną twarz i patrzy mi natarczywie na usta. Lubię go bezwzględnie. Jest jedynym porządnym człowiekiem, jakiego poznałem w Wiedniu. Jest — żeby nie szukać innych określeń — po prostu Austriakiem, nie Niemcem. Zresztą: M i t g l i e d d e r N a z i o n a l S o c i a l i s t i s c h e n D e u t s c h e s A r b e i t P a r t e i. Tabliczkę NSDAP zdjął z drzwi jeszcze przed paniką. Nie mógł widocznie inaczej, czy nie chciał — trudno mi o tym sądzić. Tak czy inaczej mam do niego sympatię. Wypisywał mi zawsze bez najmniejszych wahań, czy zastrzeżeń, wszelkie zaświadczenia lekarskie, jakie mi były kiedykolwiek potrzebne. Gdybym przeszedł w istocie 10 procent tych chorób — no, szkoda słów. Doktór wie zresztą, że go lubię.

— Tak, tak — mówi — oczywiście, że nam nic złego nie zrobią. Absolutnie panu wierzę, absolutnie...

Silniki hałasują w ciemnej nocy — tak musi być przed końcem. Potem z warkotem miesza się jakiś dziwny stuk. Wreszcie stuku jest więcej niż warkotu. Wiele setek drewniaków wlecze się po asfalcie. Są już blisko. Esmani wloką też nogi za sobą. Pasiaści wiozą jakieś graty na ręcznych wózkach. Jeden z nich niesie pod pachą bochenek chleba. Bochenek chleba to majątek i dla mnie, a dla nich... — tego się nie da zresztą powiedzieć. Koncentrak Wienner-Neustadt ewakuuje się. Czarne czapki kapów, prominenci, muzułmanie...

Ile jest kilometrów do Wienner-Neustadt? A może to już Meidling?!

Przed czterema miesiącami chodziłem jeszcze w pasiaku, teraz siedzę przed Schoennbrunnem i palę „Sondermischung rpf 4". Wniosek

— E t a l l o r s, c a v a b i e n! — uśmiech Lucien jest pełen białych zębów południowca. Patrzy z aprobatą na mentlik. Po „bien" nie ma zwykłego znaku zapytania — jest wykrzyknik. Bezapelacyjny i bezsporny.

Lucien jest Francuzem, ale ma nazwisko włoskie. Lucien jest śpiewakiem, tenorem Opera Comique. W wielkiej piwnicy fabrycznej, gdzie tłukliśmy we dwóch węgiel do kotłowni, wiele godzin prześpiewał oparty o młot. T o u j o u r s d o u c e m a n t, nie ma powodu do pośpiechu. Lucien śpiewał Cavaradossiego, Alfreda czy Cania, ale nigdy nie był wesół. Dziś jest chyba pierwszy raz od początku naszej znajomości.

Nazajutrz do południa pracujemy jeszcze przy podkładach zrujnowanego Stadtbahnu. Wbijamy pod nie żwir, ale za każdym razem po przejściu pociągu szyny wiszą znowu w powietrzu. Strzelanina wzmogła się przez noc. Jest coraz bardziej jasne, że to ostatnie dni. Obok mnie bije oskardem t. zw. Józio. Byłoby zbyteczną przesadą gdybym powiedział, że lubimy się z nim chociaż trochę. Zupełnie odwrotnie. Józio ma zapewne co do mnie swoje racje, o których trudno mi sądzić. Ja — wzajemnie — patrzę na niego z niesmakiem. Józio jest bezwzględnie przystojny, Józio jest pięknym okazem rasy, ale... powiedzmy sobie otwarcie, Józio nie jest specjalnie mądry. Nie jestem tego oczywiście pewny, ale sądzę, że Słonimski, pisząc kiedyś: „Strzeżcie się durniów o stalowym spojrzeniu" musiał mieć właśnie Józia na myśli. Nie przesądzając tej sprawy: dzisiaj pomiędzy nami jest jakby jakoś inaczej niż zwykle. Trochę się domyślam dlaczego: Czujemy po prostu, że świat ma naprawdę cztery strony, a domu nie ma. Dla nas z Józiem dom jest w Buchenwaldzie. On ma tam żonę, ja matkę.

Podobno wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Ale: którą z nich obrać, żeby było dobrze, żeby się odnaleźć?

Bo jeżeli na zachód — to już!

Wiele godzin rozpaczliwie chaotycznych myśli, skandowanych uderzeniami oskarda, drugie tyle przesiedzianych w pół odrętwieniu na ławce na Am Platz potrzeba, żeby zrozumieć najprostszą zdawałoby się (po osiągnięciu) prawdę: Do Buchenwaldu nie ma co iść. Obóz napewno ewakuują. Mama też nie będzie czekać, tylko pójdzie. Gdzie — to chyba jasne.

I Warszawa wróciła znowu na swoje naczelne miejsce.

Po hałaśliwej nocy dzień był różny od innych dni. Zaczęło się od tego, że na górnym Peitzingu wdepnąłem w pokrajany w strzępy mundur SS. Czyjeś zapobiegliwe, kobiece zapewne ręce nadały mu wygląd według mego pojęcia najwłaściwszy i wyrzuciły na małą uliczkę.

Na Ringu Węgrzy ustawiają barykady z tramwajów. Na samochody ciężarowe w charakterystycznym gwarze zdenerwowanych głosów ładują się ludzie z tłomokami.

Wrzesień 1939 — kwiecień 1945.

Od południa już nie chodzą tramwaje, z Opern Ringu na Ober St. Veit jest bardzo daleko. Kiedy przychodzę do lagru jest już po wszystkim. Nie ma już żandarmerii, nie ma już auslenderów. Wygarnęli wszystkich. — Dokąd?

Jest nas trzech szczęśliwców, których uratowała skłonność do dalekich spacerów. Ja, stary Charbonier i Jerzy.

Jest jasne, że trzeba gdzieś się ukryć, skoro łapią, tylko gdzie? Za chwilę mamy już swoją teorię: Najbezpieczniej jest tutaj, bo tu już byli. Wątpliwe żeby chcieli przyjść jeszcze raz.

Potem jest sensacja: Niedaleko, na drugiej ulicy rabują składy wojskowe. Charbonier i Jerzy są bardziej domatorsko usposobieni niż ja. Kiedy wracam po godzinie, kiwają z zachwytem głowami, patrząc na moje nowe saperki. Potem zdejmuję płaszcz i zaczyna się rwetes.

— Jeśli przyjdą Niemcy i zobaczą ten mundur SS-owca na panu, to nas rozwalą wszystkich — mówi Jerzy.

Charbonier awanturuje się też. Na szczęście Jerzy nie rozumie po francusku, a ja mu tłumaczę perfidnie, że stary robi sobie na głos wyrzuty, że nie poszedł na szaber (czyżbym znał już wówczas to słowo?) razem ze mną, bo wówczas też miałby taki mundur i nie musiał chodzić w swoich łachach. Kończy się tym, że chowam kurtkę do siennika i jest spokój. Próbują wprawdzie coś przebąkiwać jeszcze o butach, ale nie mam innych, bo swoje drewniaki — odczuwałem widocznie potrzebę teatralnych efektów — rozkręciłem na sznurowadłach i „strzeliłem" nimi w kąt ciemnego magazynu.

Bezkrólewie i bezczynność trwa przez cały następny dzień. Do obozu przybłąkuje się jakiś Jugosłowianin. Rosjanie podobno wzięli Meidling. Z Meidlingu do nas tramwajem jedzie się pół godziny. Ile czasu jedzie się czołgiem?

Strzałów jest coraz więcej. Drewniany barak trzęsie się, brzęcząc coraz głośniej brudnymi szybami. W południe Jerzy ma dość. Wychodzi na ulicę i zaraz wraca z rewelacyjną — jak twierdzi — nowiną: Żona majora SS z sąsiedniej willi zaprasza nas bardzo gorąco do swej piwnicy. Nam z Charbonier jest dobrze i w baraku i nie mamy ochoty na żadne translokacje. Jerzy przez dłuższy czas w nudny sposób opowiada o piwnicy. Żelbeton, jak wiadomo...

Wieczorem bierze plecak i chce iść sam. Wolę być z nim niż z Charbonier i kapituluję. zresztą nie robi mi to specjalnej różnicy. Charbonier jest też towarzyski. Bierze swoją miednicę z cukrem i idziemy we trzech.

Żona majora pyta czy znam rosyjski — i jest bardzo zadowolona, gdy się dowiaduje, że tak. Potem pyta czy służyłem w wojsku. Odpowiadam pytaniem na pytanie, bo nie wiem o co babie chodzi. Okazuje się, że chce zasięgnąć mojej opinii, gdzie jest najbezpieczniej dla dzieci i dla niej. Nie ma powodu żebym nie miał służyć w wojsku i zaczynam fachowe oględziny. Jest duża piwnica i mały klozet, który nawiasem mówiąc nie wiadomo dlaczego tu się znalazł. Wybór mój właśnie pada na to cokolwiek ciasne pomieszczenie i „majorowa" ładuje się tam z k i n d e r a m i i przyjaciółką. Nam zostaje duża piwnica i tam przynosimy — idąc przez ulice już prawie na czworakach — nasze sienniki z obozu.

W nocy gwiazdy są bardzo wyraźne i jaskrawe, a ciemność dudni dookoła gwałtownymi detonacjami.

Może to już było wtedy

Pointa całej historii wygląda bardzo zwyczajnie i nie ma w niej żadnych zbytecznych rekwizytów, których mógłbym się był spodziewać.

Kiedy obudziłem się z rana i wyszedłem rozglądnąć się w sytuacji, spotkałem przed domem dwóch młodych chłopców. Podaliśmy sobie ręce bez zdziwienia, jakby było najzupełniej jasne i bezsporne, że tu właśnie musimy się spotkać. Chłopcy mieli na zakurzonych barankowych czapkach czerwone gwiazdy, a w ręku automaty.

Zaczęła się wolność.

Wiedeń, 1945

Dziś przycupnęliśmy w pasie leśnym, przylegającym do asfaltowej magistrali Zabierzów — Krzeszowice.

Na południe od nas, w stronę Wisły, w odległości paru kilometrów leżały dwa lotniska: Balice i Aleksandrowice. Lotnisko w Balicach czynne było i w miarę potrzeby, widne przez całą noc, gdyż nieprzerwanie przyjmowało samoloty i wysyłało je na front pod Dębicę. Podziemne lotnisko w Aleksandrowicach było jak gdyby tajne, ciemne i w ciszy pogrążone. Dookoła obstawiono je bunkrami i strzeżono licznymi posterunkami wart. Na polu startowym i na krańcach lotniska nie paliło się nocą ani jedno światełko, któreby wskazywało granice jego zasięgu.

Oba pola startowe blisko przylegały do siebie. Ponieważ lotniska leżały na kierunku marszu minionej nocy, zatem droga okrążająca je wypadła nam właśnie przez forty na Bielanach.

Wszystkie lewobrzeżne wioski w dolinie Wisły od początku sierpnia 1944 r. zajęte były przez najrozmaitsze formacje wojsk niemieckich i broni pomocniczych. Reflektory, podsłuchy, mechanicy, artyleria zenitowa, magazyny, samochodziarze, wartownicy bunkrów i lokatorzy c. k. fortów—wszystko to bractwo żarło i buszowało po okolicznych wioskach dzień i noc. Masowe kwatery wojsk niemieckich w rejonie Stolicy G.G. krępowały bardzo nasze poruszenia, a przecież musieliśmy się jeszcze podkradać pod domy dla wzięcia przewodnika. Na tych płaskich terenach w rozszerzonej dolinie Wisły nie zawsze wystarczała gwiazda polarna i mapa.

Na zachód od dzisiejszego legowiska, w pobliżu stacji Rudawy, a wzdłuż nowej granicy Guberni, przebiegała linia ziemnych umocnień polowych. Umocnienia te budował od ósmego sierpnia 1944 r. kwiat młodzieży krakowskiej obojga płci w liczbie około trzydziestu tysięcy, pod batutą uzbrojonych dyrygentów Organizacji Todta. Dwanaście pociągów z młodzieżą wyjeżdżało każdego ranka z dworca krakowskiego na dalekie przedpola. Trzecia część tego bukietu jeździła na zachód, pod Krzeszowice, rozpełzała się po lasach i polach, tępiąc fasowane kilofy na rzekomo niezdobytym wale obronnym, przeciwko zalewowi „hord stepowych". Niemcy woleli bowiem zatrudniać młodzież, niż walczyć z nią w powstaniu ogólnopolskim.

Północna strona lasu również nie była ciekawa, bo dławiła nas stamtąd odkryta płaszczyzna łąk nad Rudawą. Ponadto w dolinie rzeki przebiegała arteria samochodowa Kraków — Katowice i linia kolejowa pierwszej klasy z licznymi wartowniami na gęstych mostach. Wzdłuż torów, od mostu do mostu, w dzień i w nocy łazili przepisowo uzbrojeni wartownicy; w dzień patrolowali parami, a nocą po trzech. W razie dziennego alarmu mieliśmy wprawdzie do dyspozycji wąski pas lasu wzdłuż szosy, ale na zachód nie było nam wygodnie odskakiwać, bo właśnie w niedalekim Zabierzowie mieliśmy do załatwienia pilny interes. Stąd trasa naszego marszu biegnąć miała nocą z powrotem na południe, do przeprawy na Wiśle.

Jak widać z opisu, sytuacja w terenie usprawiedliwiała zupełnie wzorową ciszę, której przestrzegałem z pedanterią. Nie należało zapominać, że Niemcy, zwłaszcza tu, przy granicy, o ile wchodzili do pięknego lasu, to zawsze lubili to czynić w towarzystwie czujnych wilczurów.

(D. c. n.)

Nie zabijał kolegów

Przed sądem specjalnym w Krakowie stanął Feliks Walentynowicz, b. sanitariusz obozu w Oświęcimiu, oskarżony o dawanie na rozkaz SS-manów uśmiercających zastrzyków Evipanu współwięźniom obozu.

Przewód sądowy wykazał, że Walentynowicz w porozumieniu z kolegami likwidował jedynie zbrodniarzy winnych katowania i mordowania więźniów.

Sąd zrehabilitował całkowicie Feliksa Walentynowicza, ogłaszając wyrok uniewinniający.

Niedyskrecje

— Przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych Schumacher — przywódca niemieckich socjaldemokratów zwrócił się z apelem do robotników żydowskich w Ameryce, aby wzięli udział — w akcji pomocy dla narodu niemieckiego.

Jak donosi żydowska prasa w Ameryce, delegaci robotników żydowskich na specjalnym zebraniu odpowiedzieli Schumacherowi odmownie.

Przewodniczący zebrania przypomina, że Niemcy wymordowali 6 milionów Żydów w Europie. „Cienie tych zamordowanych stoją obecnie między socjalistami żydowskimi a niemieckimi".

✶

— „Zdradą w stosunku do partyzantów i członków podziemia wszystkich narodów" — nazwał obrońca wyrok skazujący Milorada Miejkovica jugosłowiańskiego deportowanego, który stanął przed sądem amerykańskiego Zarządu Wojskowego w Salzburgu.

Milikovic, który był podówczas jeńcem wojennym w Niemczech wypełniając polecenie radia amerykańskiego, zabił w ostatnich dniach wojny hitlerowskiego burmistrza.

Sąd orzekł, że w myśl obowiązującego prawa musi on uznać winę oskarżonego.

Wojenne straty Niemiec w ludziach

Komitet Pomocy Kościoła Ewangelickiego niemieckie straty wojenne w ludziach oszacował na:

zabitych w walkach	*3½ miliona*
ofiar nalotów	*½ miliona*
„zaginionych"	*ok 1 miliona*
	razem 5 milionów

ludzi.

Te cyfry porównań nie potrzebują...

DWIE KARTY

Obudził mnie stłumiony krzyk matki. Uniosłem się na łokciu i poprzez muślinowe firanki, zwisające z krawędzi mego dziecinnego łóżeczka, zacząłem rozglądać się po pokoju.

Było zupełnie ciemno i nie mogłem najpierw nic dojrzeć. Potem błysnęła zapałka i zapłonęła stojąca na nocnym stoliku przy łóżku rodziców świeca.

Na korytarzu, u drzwi wejściowych, słychać było głośne łomotanie.

Do pokoju wpadła teraz służąca Wikta. Była boso i w nocnej koszuli. Wyglądała bardzo śmiesznie ze sterczącym na głowie lasem białych papilotów.

Podbiegła do łóżka rodziców i rzuciła roztrzęsionym głosem:

— „Ziandarmy" — jest z nimi stróż i ten pan, co przychodził wczoraj do pana. Widziałam przez dziurkę od klucza.

Potem Wikta zniknęła za drzwiami, prowadzącymi do kuchni.

Teraz matka wybiegła na korytarz, narzucając pośpiesznie na ramiona różowy szlafroczek.

Słyszałem, jak powiedziała: — zaraz, muszę się przecież ubrać — i wróciła do pokoju.

Ojciec siedział na brzegu łóżka i szukał gorączkowo czegoś pod materacem.

— Dawaj prędzej — powiedziała matka, a on wyjął trzęsącymi rękami ukryty gdzieś głęboko plik papierów i wręczył jej bez słowa.

Matka z całym ładunkiem zniknęła w kuchni.

Wróciła po chwili blada, lecz spokojna i wyszła na korytarz.

Tymczasem łomotanie do drzwi wzmagało się z każdą chwilą. Walono w nie już nie pięściami, lecz jakimś twardym przedmiotem, tak, że zdawało się, że wyważone — runą do wnętrza mieszkania.

Ojciec był już ubrany. Zapalił stojącą na stole naftową lampę.

Dziś jeszcze pamiętam, jak dmuchnął w szkiełko, „żeby nie pękło" i dziś jeszcze czuję zapach nafty, bo lampa zaraz zaczęła filować.

Pokój zapełnił się teraz obcymi ludźmi. Mówili coś po rosyjsku, czego wcale nie rozumiałem i wypytywali o coś ojca. Odpowiadał im spokojnie, chociaż czułem, że był zdenerwowany.

A oni chodzili tymczasem po pokoju, myszkując po kątach, zaglądając do szaf i szuflad biurka. Wyglądali groźnie i marsowo, rzucając na ściany cienie wiechci swych porozczapirzanych wąsów i sztywnych czapek z ogromną blachą nad daszkiem.

Kierujący rewizją oficer żandarmów rozmawiał z moją matką, po francusku. Był ogromnie grzeczny i jak się dowiedziałem potem, przepraszał „za najazd", „że trudno, służba". Żandarmi przerzucali tylko rzeczy ojca. Oficer nie pozwolił im dotknąć zupełnie do zakopiańskiej toaletki mojej matki, na której leżały porozrzucane kobiece drobiazgi i nie pozwolił grzebać w rzeczach, o których powiedziała: „to moje".

Tylko nieprzyjemny jegomość w meloniku, który był wczoraj u ojca i zostawił mu jakieś papiery i o którym matka mówiła mi potem, że był to prowokator, nie mógł się uspokoić i myszkował wszędzie, zaglądając nawet do kuchni, w której matka ukryła całą bibułę. Nie mógł widać zrozumieć, gdzie właściwie podziało się wszystko i wyciągał ciągle oficera na korytarz, tłumacząc mu coś tam podnieconym szeptem. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy oficer huknął na niego: „Małczi swołocz".

Stanął potem spokojnie przy drzwiach i oparłszy się na lasce ze srebrną gałką, czekał. Trzymał przytem melonik w ręku, śmiesznie zaaferowany, usiłujący udawać zupełną obojętność. Poznałbym go napewno jeszcze teraz, ubranego w czarny, długi tużurek, wąskie popielate spodnie i białe getry, wysoki, sztywny kołnierzyk i krawat w białe groszki. Skubał przytem nerwowo czarne, wypomadowane wąsiki, lub przygładzał przedzieloną biegnącym przez środek głowy przedziałem fryzurę.

Potem ci wszyscy ludzie wyszli z pokoju, zabierając ze sobą ojca, któremu pozwolono wziąć jeszcze walizkę, zapakowaną zawsze na wszelki wypadek i stojącą pod ręką pod łóżkiem.

Widzieliśmy potem przez okno, jak żandarmi wyprowadzają ojca przez bramę, jak go wsadzają do stojącej przed domem dwukonnej karetki i jak ruszają w stronę Marszałkowskiej.

Za karetką jechała dorożka, w której siedział rozparty szeroko oficer żandarmerii w towarzystwie antypatycznego cywila. Rozmawiali ze sobą z ożywieniem, gestykulując rękoma.

Potem nie spałem bardzo, bardzo długo w nocy, przytulony do matki w jej łóżku i cały mokry od jej łez i swoich, chociaż nie rozumiałem dobrze, dlaczego tak razem płaczemy.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem Pawiak w kilka tygodni po rewizji w naszym mieszkaniu.

Zajechaliśmy dorożką, minąwszy ubogą dzielnicę żydowską, przed zielono pamalowaną żelazną bramę przy ulicy Dzielnej.

Przed bramą tkwił na warcie żołnierz w szarym, sięgającym — mimo upału — pięt płaszczu, ze szpiczastym bagnetem na karabinie i w nasuniętej na bakier okrągłej czapce bez daszka.

Obok stała długa kolejka ludzi z paczkami w rękach i druga, znacznie krótsza, tych, co przyszli na widzenie. Nas jednak żołnierz wpuścił do środka od razu, bo matka pokazała mu czerwony papierek, który, jak mówiła, udało się jej gdzieś zdobyć za rubla.

Przez chwilę wydawało mi się, że znaleźliśmy się w poczekalni małej stacyjki, w której wszyscy są okropnie zdenerwowani i kłócą się ze sobą zawzięcie.

Pokój, do którego teraz weszliśmy, miał żółtawe, brudne ściany. Wysokie, podłużne okna zamykała żelazna, gruba krata. Z lewej strony biegło sięgające sufitu przepierzenie zaopatrzone u góry w drucianą siatkę, podobną zupełnie do tych, jakie widywało się kiedyś w sklepach wódczanych. Za przepierzeniem widniał wąski korytarzyk zamknięty z drugiej strony taką samą siatką, oddzielającą pokój od ciasnych, małych klitek.

Po korytarzu chodził tam i z powrotem rosyjski żandarm w zielonym mundurze, z prostą, czarną szablą u boku i odpiętą pochwą nagana. Przy drzwiach wejściowych stało dwóch takich samych, jak przed bramą, sołdatów w czapkach bez daszków z długimi pikami (tak z matką nazywaliśmy bagnety na karabinach).

A cały pokój zapełniał tłum.

Staliśmy przez chwilę oczekując na środku niezdecydowani, kiedy do pokoju weszła jakaś pani. Matka znała ją widać, bo ucieszyła się bardzo, tym bardziej, że z tą panią, jak się dowiedziałem potem, był adw. Papieski, broniący również mojego ojca.

Tego adwokata nie mogę sobie dzisiaj przypomnieć zupełnie. Wiem tylko, że bronił wówczas spraw wszystkich bezmała socjalistów polskich. A ta pani nazywała się Tomira Słońska, żona aresztowanego jednego dnia z moim ojcem, poety i dentysty zarazem, Edwarda Słońskiego.

Teraz żandarm odczytał z kartki nazwisko mojego ojca i matka krzyknęła głośno, bo oto ukazał się w jednej z klitek za przepierzeniem.

Miał na sobie kremową, czesuczową marynarkę, jaką zawsze nosił podczas upałów. Był bardzo blady. Bladość ta odbijała jasnym kontrastem od czerni okalającego całą twarz gęstego zarostu.

Matka podeszła ze mną do przepierzenia. Wzięła mnie pod ręce i postawiła na biegnącej wzdłuż siatki — półce.

Chwyciłem rękami za druciane przepierzenie, wsadzając palce w oczka siatki i przytknąłem do niej nos.

Chodzący między przegrodami żandarm zatrzymał się w pół drogi, zbliżył się ku nam i zapytał uśmiechającego się ojca: „Synok"?

Wszyscy zamilkli i zaczęli się nam przyglądać, a matka pocałowała mnie, zwilżając mi twarz łzami dodając:

— Patrz, tatuś...

Rozejrzałem się wokoło trochę zaskoczony tym, że wszyscy płaczą. Bo płakał stojący w sąsiedniej celce obok ojca poeta Słoński, płakała i pani Słońska i inni ludzie, zgromadzeni w pokoju, a nawet żandarm w przegrodzie wycierał głośno nos kraciastą chustką.

Ten cały obraz pozostał mi jeszcze długo przed oczami i rysuje się jeszcze dzisiaj tak, jakby to było bardzo niedawno temu.

*

Nie wiem, czy tak jest u wszystkich, ale dla mnie każde wspomnienie wiąże się z jakąś barwą. To pierwsze, z mego pierwszego w życiu zetknięcia się z Pawiakiem i konspiracją z czasów carskch, maluje mi się w kolorze brudno-żółto-szarym. Drugie, o którym chcę teraz mówić, z lat niedawnych, ma ostrą, czarno-biało-zielonkawą barwę. Przy czym czerń jest błyszcząca i czysta, pachnąca prawie lakierem i pastą do butów, biel zaś skalana jak gdyby tylko mrokiem zasnutej świeżo na obrazie pozbawionej osadu kurzu pajęczyny. Jest w tym obrazie jeszcze ostry błysk stali i spokojna matowość oksydowanego metalu.

Może sprawia to kolor munduru, może wreszcie nastrój, boć mówią, że podobno nastroje mają swoje, swoiste kolory, nie wiem.

A było to tak:

Data dokładnie utkwiła w mojej pamięci: wrzesień 1942 rok. Zdaje się, że był to poniedziałek. W Łazienkach, w Parku Ujazdowskim i w Alejach szeleściły żółte, kasztanowe liście. Bogactwo barw i mimo późnej pory roku — bogactwo słońca.

Była rewizja w małym mieszkanku moich znajomych, zwanym szumnie lokalem. Lokal ten mieścił się w dużym, spółdzielczym domu na kolonii Staszica. Gestapowcy przyjechali dwoma samochodami wczesnym rankiem, jeszcze przed godziną, w której przeprowadzano tu zawsze rozdział bibuły i rozsyłano ją przez łączników do różnych dzielnic.

Ktoś tam jeszcze przed kilku dniami mówił, że przed domem kręci się podejrzany, młody człowiek, że często stoi na schodach, ale jakoś nikt nie przywiązywał wagi do tych słów, bo przecież fałszywych alarmów było już co niemiara. Z tego zdałem sobie sprawę dopiero później. Tego dnia jednak...

Przyszedłem jak zwykle o umówionej godzinie. W kieszeni miałem jakieś nic nie znaczące papiery, jakieś gazetki i ulotkę. Zaopatrzony byłem w „dobre" dokumenty na cudze nazwisko.

Zadzwoniłem krótko trzy razy, a potem zastukałem trzykrotnie, jak było umówione. Nie wiem już kto otworzył mi drzwi, w każdym razie nie był to nikt ze znajomych.

Ledwo się za mną drzwi zamknęły, dostałem niespodziewanie w szczękę. Tak prosto, zwyczajnie od dołu, aż mi głowa poleciała w tył i walnąłem nią tępo o drzewo.

Nie zdążyłem się jeszcze opamiętać, gdy otrzymałem następny cios, zdaje się nogą w podbrzusze. Zgiąłem się z bólu i w tej samej chwili otrzymałem cios czymś twardym w kark. Ten dopiero powalił mnie na ziemię...

Potem wciągnięto mnie za ręce do pokoju. Krew mi leciała z nosa i z rozciętej głowy. Byłem na wpół przytomny. „Młócili" mnie teraz wszyscy, lśniącymi butami. Kiedy wreszcie przestali, musiałem wyglądać, jak przygotowany do smażenia sznycel po wiedeńsku.

A oni chodzili po pokoju, śmieli się, palili papierosy i odrywali klepki z posadzki, szukając widać skrytki. Wszyscy byli młodzi, eleganccy, przystojni.

Pod ścianami leżeli: właściciel mieszkania — zbity jak ja — jego młoda żona, łączniczka Basia, Stefan, Jurek i jeszcze dwóch chłopców z naszej komórki. Jurek był nieprzytomny. Stefan pojękiwał z cicha. Basia i właścicielka mieszkania leżały cicho i odnosiło się wrażenie, że śpią. Basia miała w kilku miejscach przeciętą, jakby uderzeniem pejcza, twarz.

Jakiś młody, dwudziestoparoletni oficer, siedział na fotelu i trzymał na kolanach dwuletnią córeczkę gospodarzy — Zosię. Dziecko ssało długi cukierek i bawiło się guzikami przy mundurze gestapowca.

Niemiec rozmawiał z dziewczynką czystą polszczyzną i wypytywał o coś.

Nie mogłem dobrze rozróżnić słów, bo szumiało mi piekielnie w głowie. Spostrzegłem tylko, że dziecko ma buzię spuchniętą od płaczu.

W pewnej chwili usłyszałem tylko, jak powiedział głośno: „No, a teraz pokaż".

Mała zeskoczyła mu z kolan. Pobiegła do drugiego pokoju i przyniosła po chwili stamtąd wielką, szmacianą lalkę.

Zdrętwiałem z przerażenia. Wewnątrz lalki znajdowały się zaszyte ważne dokumenty, które miały być wysłane w najbliższym czasie za granicę.

Zniecierpliwiony gestapowiec, nie domyślając się niczego, wyrwał dziecku zabawkę z ręki i rzucił ją z pasją w kąt, a potem uderzył małą z całej siły w twarz, aż upadła na ziemię i jak zbity mały szczeniak spłakana i przerażona podpełzła na czworakach ku ścianie i przylgnęła bez słowa do leżącej na podłodze, nieprzytomnej matki.

Tak wyglądała rewizja.

*

Moje drugie w życiu zetknięcie się z Pawiakiem nie było również zupełnie podobne do pierwszego.

Ta wizyta zresztą miała się przeciągnąć dużo, dużo dłużej, niż ta pierwsza z lat mego dzieciństwa.

Nie było tu, oczywiście, mowy ani o adwokacie, ani o rozprawie sądowej, lecz za to ciągnące się w nieskończoność badania w Al. Szucha, przerażający warkot samochodów, przywożących codziennie nowy ładunek ofiar.

Po długim pobycie w pojedynce, przeniesiono mnie wreszcie do celi na V oddziale. W celi tej, nie wiem, czy zawdzięczając to przypadkowi, czy niedopatrzeniu kierownictwa więzienia, znalazłem się razem z właścicielem lokalu, w którym wpadłem, z ojcem małej Zosi. Przeszedł to samo prawie co ja, tylko, że jego w dodatku gnębił niepokój o losy żony i dziecka. Wiedział, że obie znajdują się na „Serbii". Miał nawet od nich za pośrednictwem lekarzy wiadomość, ale okropny lęk przed ich przyszłością, nie dawał mu spać po nocach.

Pewnego ranka, jeszcze przed apelem porannym, obudził mnie jakiś zgiełk na podwórzu. Uniosłem się na posłaniu i rozejrzałem się po celi.

Wszyscy jeszcze spali, tylko ojciec Zosi stał uwieszony u okiennej kraty, prawie pod samym sufitem i wyglądał na dwór. Obejrzał się na mnie i rzucił cicho: — Transport kobiet do obozu, pewnie Oświęcim.

Stanąłem obok niego i wyjrzałem na zewnątrz.

Szare podwórze Pawiaka zalewał czerwony, przyćmiony z lekka blask wczesnego, wschodzącego słońca.

Ze dworu szedł orzeźwiający ziąb. I w tym słonecznym blasku, na matowym żwirze podwórza, stały bezładną grupą kobiety-więźniarki.

Szeregowano je teraz w regularne czworoboki piątek, stare i młode, wywołując głośno nazwiska. Listę odczytywał pisarz więzienny — Polak.

Całą gromadę otaczali z gotowymi do strzału „rozpylaczami" SS-mani. Śmieli się głośno i pokrzykiwali od czasu do czasu gardłowo, strofując opóźniające się kobiety.

Wszystko, co się rozegrało potem, trwało zaledwie ułamek sekundy, lecz sekundy, która w życiu naszej celi stała się bodaj, że najtragiczniejszym przeżyciem.

Spostrzegłem żonę mego towarzysza z dzieckiem na ręku. Szła rozglądając się po zakratowanych oknach więzienia męskiego, jakby wypatrując męża. Spostrzegła go widać, bo uśmiechnęła się i zdaje się, chciała mu kiwnąć ręką na pożegnanie. Lecz on, niewiadomo czy ogarnięty jakąś bezgraniczną rozpaczą, czy wreszcie nieprzytomny ze szczęścia, widząc je zdrowe i całe — krzyknął głośno.

W tej samej chwili jeden z eskortujących grupę SS-manów, zmierzył się i strzelił.

Huk się rozlał szerokim echem wśród wypalonych murów getta.

Cofnąłem się w tył, a ojciec Zosi zwalił się całym ciężarem na ziemię, tuż koło moich nóg.

Niemiec celował dobrze...

Takie było widzenie więźnia z rodziną na Pawiaku w początkach roku 1943.

Andrzej Kobyłecki

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Głody

„—Dajcie chleba wezbrane garście,
ziemię zgarnę, a będę żuł,
dajcie zupy choćby na chwaście
i na głazach rozciętych wpół!

Ja chcę jeść! Odebrano wszystko.
Ciało oblekł kolczasty drut.
Zwykły numer zmazał nazwisko
i pozostał mi tylko głód.

Dziki głód, jak wierny towarzysz
nie opuszcza ni w noc, ni w dnie,
ludzkie rysy zdziera mi z twarzy
i obnaża kościstą śmierć.

Zwiera oczy mgłą opowite,
z jelit bladą wysącza krew.
By go uśpić, gdy rwie skowytem,
fanatyczny nucę mu śpiew.

Głody moje paście się, paście,
rwijcie ziemię i żyły rzek,
gryźcie piasek, jak ziaren garście,
pijście chłodny spieniony śnieg!

Ja chcę jeść!" — I pochwycił łyżkę,
lecz ból straszny zwalił go z nóg...
I błękitu przelaną miskę
z tłustym słońcem przytknął do ust.

Z książki „Wysoki płomień".

* * *

W ten wichrem nabrzmiały wieczór —
w brzuchaty nadzieją czas —
idę...
jak grzmot... w przestrzeń
i szukam Was... Polacy!
W kajdany okuta Wisła,
pluje krwawymi wody.
Z kajdan zbudowany, ten gmach,
który zburzyć chcę! — — —
młody!
Chcę wypić Wisły krew
i jej rozerwać pęta... bym syn
ssał tę pierś,
pierś Polakom świętą.
Żołnierz!... nie znam co strach,
Choć księżyc ma lica rozbite i
w krwi swej — kąpie aureolę...
ja idę...
Mój znak?
polskości boleń!
Prowadź mnie, Boże Wszechmocny
więc idę... i... wzywam Was
Na bój!... obrońcy, patrioci!

Bohaterowie podziemi

„SŁOŃ"

Był młody, przystojny, wesoły, o miłym uśmiechu i zawsze skory do żartu. Nazywaliśmy go „Słoń", bo był bardzo wysoki, miał szerokie ramiona, mocne ręce i silne bicepsy.

26 czerwca 1943 r. przyszedł jak zwykle na „punkt", który wówczas znajdował się na Starym Mieście. Zabrał 400 egzemplarzy codziennej gazety podziemnej „Nowy Dzień" i 400 egzemplarzy tygodników. Zapakowano mu ten niebezpieczny bagaż w dwie duże paczki.

O 4 z minutami odchodziła kolejka E. K. D. do Grodziska. Tłok jak zwykle był olbrzymi, nie miał już miejsca siedzącego, ulokował się więc na platformie. Pociąg ruszył. Minął Szczęśliwice, Raków, Salomeę, Opacz... Jak codzień... „Słoń" patrzył obojętnie na przesuwający się krajobraz. Jeździł tą trasą codziennie od kilku już miesięcy. Codziennie wiózł podziemną prasę na punkt w Pruszkowie, wyczekiwany tam z niecierpliwością przez ludzi pragnących prawdziwych wiadomości i podtrzymania na duchu w niezłomnej woli oporu w stosunku do znienawidzonego okupanta.

Pociąg minął Malichy, minął Tworki. — Teraz wysiadam — przebiegło przez myśl „Słonia" i w tej chwili zahamowany gwałtownie pociąg stanął w polu.

„Słoń" spojrzał przez okno. Ujrzał zielone mundury znienawidzonych żandarmów otaczających wagony kolejki. Czym prędzej wsunął jedną paczkę pod ławkę w kąt przy ścianie, a drugą w lukę między drzwiami na platformie.

— Daj mi pan czapkę i torbę — zwrócił się do stojącego obok konduktora. Pan ma papiery w porządku, a ja żadnego „ausweisu".

Ale konduktor spojrzał wystraszonym wzrokiem i odsunął się czym prędzej.

— Alle rrrraus! — padło gardłowym, wrzaskliwym głosem jednego z żandarmów.

Z wagonów kolejki zaczęli wysypywać się pasażerowie. Cały tor obsadzony był gęsto żandarmerią. O ucieczce nie mogło być mowy.

„Słoń" wraz z innymi stanął w szeregu. Kobiety ustawiono osobno, mężczyzn osobno. Naprzód wysunęło się kilku Niemców i volksdeutschów. Ci zostali zwolnieni natychmiast i skierowani piechotą w kierunku Pruszkowa.

Zaczęło się legitymowanie kobiet. Łapanka okazała się „łagodna". Zwolniono wszystkie. I te również poszły torem w kierunku oddalonego zaledwie o parę kilometrów Pruszkowa.

Teraz rozpoczęto legitymowanie mężczyzn. „Kennkarta", karta pracy, „ausweis" w porządku i — zwolniony.

„Słoń" był już trzeci z rzędu do legitymowania, gdy nagle od strony pociągu dobiegło krzykliwe:

— Halt! Halt!

Żandarmi nastawili do strzału rozpylacze, celując w kierunku stojących rzędem mężczyzn, pasażerów kolejki.

Od strony pociągu szedł oficer niosąc paczki. Dwie paczki „Słonia". Paczki miały już naddarty papier i zawartość ich była oficerowi wiadoma.

— Wessen sind diese Sachen?

„Słoń nie znał niemieckiego, ale domyślił się treści. Jak błyskawica przebiegło mu przez myśl:

— Jak się nie przyznam gotowi rozstrzelać co dziesiątego. Jak się przyznam — zginąłem. — I jednocześnie ze słowami żandarma — tłumacza:

— Czyje są te rzeczy?

Wystąpił z szeregu.

— Moje.

Oficer spojrzał ze zdumieniem, w którym przebijał szacunek. Rzucił jakiś rozkaz i natychmiast czterech żandarmów otoczyło „Słonia". Kazano mu wziąć ręce do tyłu.

Zaprowadzono go do dawnego szpitala w Tworkach, zajętego przez wojsko. Zabrano mu tam pieniądze, scyzoryk. Zdjęto mu również pasek od spodni, ale że był gumowy od kąpielowego kostiumu, żandarm machnął ręką i oddał. Zostawiono mu tylko „kennkartę" (tę odbierano zwykle dopiero na Pawiaku) i zegarek. Wsadzono go do piwnicy, gdzie nie było żadnego okienka, ani żadnego mebla, ale zato olbrzymia wilgoć.

— Nie mogłem się nawet zastanawiać jak się będę ewentualnie bronił, co będę mówił w czasie badania, bo piekielnie rozbolał mnie ząb, a potem głowa, tak że nie mogłem zupełnie myśli zebrać — opowiadał nam później.

O godz. 9.30 (zegarek był fosforyzujący) otwarły się drzwi więzienia. Dwóch żandarmów wyprowadziło „Słonia" na podwórze, gdzie stała kryta półciężarówka Fiat. Przy kierownicy siedział żandarm, a drugi z rozpylaczem obok niego. Więźnia usadowiono na ławce stojącej wzdłuż samochodu, a nawprost niego usiadł żandarm z karabinem w ręce.

„Słoń" siedział ze spuszczoną głową, twarz zakrywając dłońmi. Robiło to pewno wrażenie zupełnego załamania i zgnębienia. Przez szpary między palcami obserwował jednak eskortującego żandarma, a kątem oka patrzył na szosę. Dokąd go wiozą? Na posterunek do Pruszkowa, czy do Gestapo do Warszawy?

Żandarm początkowo patrzył na więźnia, ale widząc, że ten się nie rusza ani nie odejmuje rąk od twarzy, odwrócił spojrzenie na szosę.

Droga wiodła do Warszawy. „Słoń" znał ją dobrze. Gdy minęli Piastów przypomniał sobie, że teraz będzie zakręt, a zaraz drugi i, że auto pędzące z dużą szybkością musi przyhamować.

I tak było istotnie. W momencie przyhamowania „Słoń" błyskawicznie się poderwał i twardą pięścią (wiadomo — „Słoń"!) wyrżnął w szczękę siedzącego naprzeciw żandarma. Ten z krótkim: aaaa—przechylił się w tył, wypuszczając karabin z rozpostartych nagle rąk. „Słoń" natychmiast wyskoczył. Upadł wprawdzie na kolana tłukąc je dość dotkliwie, ale podniósł się szybko i pędem dobiegł do zboża, które rosło tuż przy szosie, a było już wysokie. Auto tymczasem jechało dalej i dopiero po kilkuset metrach, gdy ocknął się zamroczony żandarm i narobił alarmu — zawróciło.

Ale „Słoń" już był w zbożu. Widział jak reflektorem przejeżdżano przez łan żyta, słyszał jak dano dwie serie z rozpylacza. Potem motor zawarczał i auto ruszyło w kierunku Tworek. — Może za chwilę przyjechać tu cała chmara aut. Nie ma czasu do stracenia — myślał Słoń.

I czołgał się zbożem, a potem trafił na kartofle. Tu już było trudniej, bo nie był zakryty. Musiał dosłownie pełzać na brzuchu. Ale już zapadał na dobre błogosławiony zmierzch. Po paru godzinach marszu ułożył się w rowie przydrożnym. Mżył chłodny, drobny deszcz, ale nocą było ryzykownie iść dalej, a i zmęczenie nerwowe i fizyczne nie pozwalało na dalszy wysiłek.

— Zmówiłem „Zdrowaśkę" i zaraz usnąłem jak kamień — opowiadał nam potem.

O świcie przebudził się i na jakiejś drogowej tablicy odczytał, że jest w gminie Skorosze. Od pierwszego napotkanego przechodnia pożyczył dwa złote (nie miał przecież żadnych pieniędzy, bo mu je w Tworkach zabrali), doszedł do kolejki we Włochach i przyjechał do Warszawy.

Cały dzień spał, a nazajutrz radośnie i hucznie obchodziliśmy jego imieniny, bo 28 czerwca wypada Ireneusza.

Ireneusz Kordus, — takie było jego prawdziwe nazwisko — w swojej działalności podziemnej miał wiele chlubnych kart. Trudny i niebezpieczny zresztą kolportaż na prowincję to było jego „poboczne zajęcie". Był członkiem grupy bojowej i brał udział w wielu akcjach i zamachach — z niezmiennym zresztą szczęściem. On to między innymi brał udział w porwaniu majora gestapo sprzed gmachu w Alei Szucha, on upilnował i w Józefowie na stacji pełnej ludzi i żandarmów wykonał wyrok na donosiciela, volksdeutscha Sommera, który po słynnym zamachu na karetkę więzienną przy ulicy Długiej, strzelał do uciekających zamachowców.

Zginął w październiku 1943 r. w jednej z egzekucji ulicznych w Warszawie. Ironia losu chciała, że tym razem złapany był bez broni, bez żadnego egzemplarza gazety. Nie miał przy sobie nic co mogłoby go skompromitować w oczach Niemców. Wracał z imienin od brata. Ale był młody, był Polakiem — były to zarzuty dostateczne, by został rozstrzelany natychmiast.

Aneta Rutkowska

Życie organizacyjne PZBWP

Zjazd S.M. Okręgu Warszawskiego

Dnia 19.X. odbył się Zjazd Delegatów Sekcji Młodzieżowych Okręgu Warszawskiego.

Otwarcia dokonał przewodniczący zjazdu kol. Śledziewski. Na wstępie powitał przybyłych na zjazd przedstawicieli Zarządu Głównego — zast. sekretarza generalnego kol. Rafalika i kol. Dąbrowieckiego, przedstawicieli Zarządu Okręgu Warszawskiego — wiceprezesów kol. kol. Walczaka i Ładkowskiego, przedstawiciela Czeskiego Związku B. Więźniów Politycznych i Koła Czeskich Studentów kol. Slizinskiego oraz wszystkich delegatów Kół.

W zagajeniu kol. Śledziewski przedstawił wytyczne zjazdu:

„Zebraliśmy się tu po raz pierwszy, by podsumować dotychczasową naszą działalność i wytyczyć drogi naszej dalszej pracy. Pragnę, by zjazd dzisiejszy był drogowskazem dla naszej dalszej działalności, by obrady nasze zakreśliły przede wszytkim plan pracy na bieżący rok szkolny.

Chcę na wstępie zwrócić uwagę, że zjazd nasz nie jest jakimś ruchem separatywnym, jakimś tworzeniem „państwa w państwie", pragnę, abyśmy dzisiaj zadokumentowali naszą nierozerwalną łączność ze Związkiem. Pragnę również, by dzisiejszy zjazd zajął zdecydowane stanowisko ideologiczne.

W obecnej sytuacji ofensywy obcego kapitału, który faworyzując Niemców dąży do odbudowy Niemiec przed innymi zniszczonymi krajami, niech nie zabraknie i naszego głosu oburzenia i napomnienia.

W imieniu Zarządu Głównego powitał zebranych kol. Dąbrowiecki.

Wiceprezes Zarządu Okręgu, kol. Ładkowski, wygłosił krótkie przemówienie, w którym zwrócił uwagę na stosunek starszych do młodych kolegów Związku, następnie poruszył kwestię młodzieży robotniczej z naszych szeregów, położył nacisk na sprawę zakładania świetlic i na końcu zakreślił naszą postawę wobec obecnych zagadnień politycznych i społecznych.

„Odbudowa Niemiec jest kwestią nowej wojny i my, b. więźniowie, jesteśmy w walce z tymi wszystkimi, którzy chcą Niemcy odrodzić. Jesteśmy członkami związku p o l i t y c z n e g o", o wyraźnym obliczu antyfaszystowskim" — zakończył kol. Ładkowski.

Delegat Koła Akademików Czeskiego Związku B. Więźniów Politycznych kol. J. Slizinski pozdrowił Zjazd od czeskich kolegów b. więźniów, a następnie podkreślił wagę współpracy polsko-czeskiej, zwłaszcza w przeciwstawianiu się wspólnie odbudowie Niemiec. Następnie wyraził podziw dla prężności polskiego społeczeństwa, które z takim zapałem i z taką siłą dźwiga z gruzów swoją stolicę.

Z kolei przewodniczący Ogólnopolskiej Sekcji Młodzieżowej, kol. Rafalik, wygłosił referat polityczny, w którym podkreślił, jakie powinno być nasze stanowisko ideologiczne wobec dzisiejszej rzeczywistości, a następnie omówił sprawy organizacyjne i sprawę stypendiów na rok bieżący.

W następnym punkcie obrad, kol. Frackiewicz odczytał sprawozdanie z działalności tymczasowego Komitetu Wykonawczego SM Okręgu Warszawskiego, poczym nastąpiła ożywiona dyskusja na temat sprawozdania oraz referatu kol. Rafalika. Dyskusja ta podsumowała dotychczasową działalność Sekcji Młodzieżowej i wytknęła plan pracy na najbliższą przyszłość.

Po dyskusji została wybrana komisja kwalifikacyjna w skład której weszli kol. kol.: Frąckiewicz Stefan, Kamieniecki Roman, Fronczak Kazimierz, Stodulski Andrzej, Kapczewski Stanisław oraz zastępcy: kol. Kwartówna Ludwika i kol. Metera Jerzy.

Na zakończenie obrad, w wolnych wnioskach, zostały podane dwie rezolucje, obie przyjęto przez aklamację.

Pierwsza z nich wysunięta przez kol. Galika, zakreśla nasze stanowisko wobec dzisiejszej polityki odbudowy Niemiec, druga, podana przez kol. Dąbrowieckiego, została natychmiast przesłana na Kongres Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, gdzie została odczytana zebranym przez min. Świątkowskiego.

DO OBYWATELA
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Zjazd Delegatów Sekcji Młodzieżowych Okręgu Województwa Warszawskiego Polskiego Związku byłych Więźniów Politycznych śle Ci Obywatelu Prezydencie wyrazy czci i zapewnienia, że my młodzi więźniowie polityczni hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych stać będziemy na straży Polski Ludowej oraz przyczyniać się naszą pracą i nauką do utrwalenia Jej potęgi i niepodległości.

Zjazd Delegatów
Sekcji Młodz. Okr. Warszawskiego
Pol. Zw. B. Więźniów Politycznych

R E Z O L U C J A I

My, młodzież Polskiego Związku byłych Więźniów Politycznych, zebrani na zjeździe delegatów Okręgu Warszawskiego, protestujemy przeciwko planowi Marshalla, który daje pierwszeństwo Niemcom w odbudowie przed narodami zniszczonymi, ręką podpalaczy hitlerowskich.

Protestujemy przeciwko więzieniu demokratycznej młodzieży hiszpańskiej, w więzieniach i obozach gen. Franco.

Protestujemy przeciwko prześladowaniu ruchu demokratycznego w Grecji, Indonezji i Vithmanii.

My, młodzież więźniarska oświadczamy, że nauką i pracą przyczyniać się będziemy do odbudowy Polski Ludowej i strzec jej granic na Odrze i Nyssie.

R E Z O L U C J A II

Zjazd Delegatów Sekcji Młodzieżowej PZbWP Okręgu Warszawskiego przesyła niniejszym Delegatom na Kongres Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej życzenia jak najowocniejszych obrad, dążących do jak najściślejszej współpracy między naszymi bratnimi narodami słowiańskimi.

My, młodzi, b. więźniowie polityczni, ludzie, którzy chyba najlepiej poznali okrucieństwa faszyzmu, widzimy w Waszej działalności gwarancję tego, iż czasy takie, w jakie nas los rzucił, już się nigdy nie powtórzą i nigdy już bat faszystowski nie będzie gnębił pokoleń Wolnego Narodu Polskiego.

SEKCJA MŁODZIEŻOWA PZbWP
OKR. WARSZAWSKIEGO

Warszawa, dn. 19.X.47 r.

*

Poza tym zostały wysłane cztery depesze: do Prezydenta R. P. Bolesława Bieruta, do premiera Józefa Cyrankiewicza, do marsz. Roli-Żymierskiego i min. oświaty Skrzeszewskiego.

Świetlica w Łodzi

Czytając w Nr. 15 „Wolnych Ludzi" wzmiankę o świetlicy związkowej w Częstochowie, pomyślałem, że nie każdy wie, że w Łodzi tego rodzaju świetlica istnieje już od dn. 1 października 1946 r., a więc przeszło rok. Swietlica P.Z.b.W.P. w Łodzi mieści się w trzech dużych salach przy ul. Nawrot 31, skupiając młodzież podopieczną, sieroty, półsieroty i dzieci żyjących byłych więźniów oraz członków Sekcji Młodzieżowej. Do świetlicy uczęszcza dziennie około 90 dzieci obojga płci.

Na życie kulturalne młodzieży świetlicowej kładzie się specjalny nacisk. Częste imprezy artystyczne, przedstawienia, koncerty itp. były na porządku dziennym w zeszłym roku. Obecnie świetlica otwiera swój program wieczorem Chopinowskim, zorganizowanym z okazji rocznicy śmierci Wielkiego Kompozytora. Na dzień 1 listopada znajduje się w opracowaniu akademia żałobna.

Nie ograniczamy się jednak wyłącznie do tego rodzaju imprez. W normalne, robocze dnie, praca świetlicowa idzie dobrze obmyślanym, utartym trybem. Codzienne odrabianie lekcji, śpiew, konkursy literackie, nauka zajęć praktycznych, gry, zabawy oraz sute podwieczorki — wytwarzają atmosferę serdeczności, opieki i przyjaźni.

Stosunek do dzieci podopiecznych jest specyficzny, inny niż do dzieci pozazwiązkowych. Nasze dzieci tęsknią do ciepła rodzinnego, które zabrała im tak wcześnie wojna. Nasze sieroty czy półsieroty trzeba naprawdę kochać, bo tylko my im zostaliśmy. Nie operujmy frazesami w rodzaju przysięgi złożonej zamordowanemu ojcu — „będę się Twym dzieckiem opiekował", wierzcie mi, że są to najczęściej frazesy, a bardzo niewielu jest ludzi, którzy naprawdę wprowadzają je w czyn. Do nielicznych tych wyjątków należy Zarząd Koła P.Z.b.W.P. w Łodzi, który każdy grosz, każdą chwilę i myśl poświęca pracy dla dzieci.

Patrzeć na świetlicę łódzką, która rozwija się i przeobraża ciągle na lepsze, a dołożywszy do tej pracy iskierkę z własnego serca, ma się głębokie zadowolenie, że na naszych oczach wzrasta pomnik braterskiego przywiązania, wspólnoty i całkowitego poświęcenia dla dobra naszych następców.

Głos ma prokurator

Prokurator Sądu Okręgowego w Warszawie prowadzi dochodzenie w sprawie przeciwko niżej wymienionym przestępcom wojennym, wydanym ze strefy amerykańskiej.

1) Irma Hertel, 2) Teresa Hertkorn, 3) aria Klotz, 4) Elżbieta Peschke — strażniczki SS w obozach w Geislingen i Ravensbrück. 5) Albert Kurz — dozorca w karnym obozie pracy w Rüdesberg, podejrzany o znęcanie się nad kobietami narodowości polskiej rosyjskiej i francuskiej. 6) Kurt Lehmann — capo w obozie Flossenburg. 7) Johannes Werner — urzędnik fabryki Zeissa, podejrzany o znęcanie się nad więźniami w więzieniu w Amberg. 8) Karol Schirmers — strażnik więzienia w obozie w Sangerhausen.

Osoby, którym znana jest przestępcza działalność wymienionych przestępców winny bezwłocznie zgłosić się do Prokuratury Sądu Okręgowego w Warszawie, przy ul. Leszno 53—55 osobiscie lub pisemnie, celem złożenia zeznań.

Władze amerykańskie wydały władzom polskim niżej wymienionych przestępców, podejrzanych o znęcanie się nad jeńcami wojennymi w obozach jenieckich.

1) Andrzej Buch — felfeb. z Oflagu VIIA—Murnau, 2) Otto Fuchs— kapitan, komendant obozu w Bodzierznie. 3) Christian Hotze — major, komendant karnego batalionu w Stalagu 4 B — Mülberg. 4) Eryk Lorenz — strażnik obozu w Lamsdorfie. 5) Herbert Wolfram — kapitan, komendant karnego batalionu w Augsburgu.

Ponadto wydani zostali za przestępstwa popełnione w obozach koncentracyjnych i obozach pracy:

1) Fritz Henze — (Wilhelmsbaren i Brema), 2 Jan Brandl — (Zborów). 3) Franz Drewa — (Lublin, Dachau i Natzweiler). 4) Karol Eicker — (Neuengamme, Wawelsburg, Belsen i Dachau). 5) Józef Glas — (Lublin, Warszawa). 6) 7) Andrzej Hoff — (Lublin, Warszawa). 8 Michał Hügel — (Lwów). 9) Wilhelm Pickawe Steuben — (Warszawa). 10) Marcin Plattner — (Warszawa). 11) Ludwik Maurer — (Warszawa). 12) Karol Kantlehner . 13) Hans Suhnke.

Osoby, który znane są zbrodnie dokonane przez wyżej wymienionych, proszone są o podanie swego adresu, bądź o osobiste zgłoszenie do Prokuratury Sądu Okręgowego w Warszawie ,ul. Leszno 53.

*

Sąd Okręgowy Wydział II Karny w Częstochowie prosi o wskazanie imion nazwisk i adresów osób, które w miesiacach letnich 1942 r. przebywały w obozie karnym w Rattwitz koło Wrocławia.

Brawo — ob. wojewodo Wiślicz

Trudno sobie wyobrazić, by w ciągu krótkiego okresu pracy zdobyć tak kapitalne rezultaty inicjatywy społecznej.

Będąc przejazdem przez Kielce znalazłem ośrodek pracy jakim Polska jak długa i szeroka nie może się poszczycić. Ośrodkiem tym jest Batalion Hufców Budowlanych, w skład którego wchodzą sieroty i półsieroty po partyzantach i więźniach b. obozów koncentracyjnych. Hufce zostały zorganizowane przez wojewodę Wiślicza, które w najbliższym już czasie zasilą zastępy techniczną fachową siłą.

O pracy tych hufców napiszemy w najbliższym numerze „Wolnych Ludzi".

W trosce o młodzież

23 października obradowało w Warszawie plenum Rady Opieki Społecznej. Zebraniu przewodniczyła kol. dr Tetmajerowa. W związku z rozpoczętym rokiem szkolnym i akademickim specjalnie dużo uwagi poświęcono sprawie stypendiów dla niezamożnej uczącej się młodzieży. Stypendia są przyznawane byłym więźniom, sierotom i pół sierotom po b. więźniach, a także w wyjątkowych wypadkach dzieciom b. więźniów politycznych.

O przyznanie stypendium starać się można jedynie przez Koła w miejscu studiów. Zamiejscowi kandydaci do stypendiów winni się więc przerejestrować do odpowiedniego Koła. Kwota stypendialna wynosi od 1 tys. do 2 tys. miesięcznie, lecz projektuje się podniesienie jej do skali państwowej. Obecnie korzysta ze stypendiów PZbWP 1423 osoby, z tego 702 stypendyści to uczniowie szkół zawodowych, a 721 — akademicy.

Jeżeli wziąć pod uwagę liczbę blisko 9 tys. ubiegających się o stypendia, dojdziemy do wniosku, że fundusze Związku nie mogą wystarczyć na pokrycie wszystkich potrzeb. Na stypendia w 6 okręgach, które nadesłały preliminarze zostało przeznaczone 7.400 tys.

W trosce o młodzież obok akcji stypendialnej rozwija Związek nasz akcję organizowania świetlic. Obok już zorganizowanych, mamy kilkadziesiąt świetlic w stadium organizacji. Niektóre okręgi, jak Szczecin, Olsztyn, Wrocław i Gdańsk razem z akcją świetlicową przeprowadzają akcję repolonizacyjną.

Ze sprawozdania z ukończonej już akcji kolonijnej dowiedzieliśmy się, że 6.700 dzieci, podopiecznych Związku wzięło udział w koloniach w kraju, a 67 dzieci wyjechało na letnie miesiące zagranicę.

Aby rozszerzyć opiekę nad dziećmi projektuje się utworzenie centralnego sierocińca, z przedszkolem, szkołami zawodowymi i świetlicą. Na razie w braku własnych Związek b. Więźniów kieruje sieroty do dziecińców obcych, lecz z powodu ich przepełnienia napotyka to na poważne trudności.

Od Redakcji

Kol. Chrościewicz Jerzy (Ustroń): Jako były więzień Oranienburga może być Kolega członkiem Związku b. W. P., musicie jednak posiadać świadków i członków wprowadzających spośród dawnych kolegów obozowych, którzy już są zweryfikowanymi członkami Związku b. W. P.

Kol. Maliszewski (Błonie): Czekamy na sprawozdanie i zdjęcia (wyraźne, na błyszczącym papierze) z Waszej uroczystości.

Koło PZBWP (Środa): Listę zmarłych w obozie Gross-Rosen otrzymaliśmy przez Min. Spraw Zagr. z poselstwa polskiego w Brukseli.

Koło PZBWP (Świecie): Zapowiedzenie uroczystości w Grupie otrzymaliśmy zbyt późno.

Kol. Kol. Graj Izydor (Legnica), Zamiński Cezary (Warszawa): Zarząd Woj. PZBWP (Katowice) — kol. Sender — Prosimy o współpracę.

P. W. Karczewski (Łódź): Nie zamieścimy.

Sekcja młodzieżowa
okręgu śląsko-dąbrowskiego

Sekcja Młodzieżowa liczy 4.000 członków, a napływ nowych nie ustaje. Bawiący na lustracji zastępca Sekr. Gen. PZBWP kol. Rafalik, przedstawił na zebraniu sekcji okr. śląsko-dąbrowskiego wytyczne sekcji:

„Musimy jasno sobie zdać z tego sprawę, czym jest Sekcja Młodzieżowa. Nie tylko po to nas zorganizowano w SM, abyśmy korzystali z usług naszego Związku. Mamy przed sobą dużo, do wykonania.

Jakie cele przed nami stoją? Otóż odpowiedzmy sobie na te pytania:

Wychowanie się nawzajem dla dobra Ojczyzny, dokształcanie się i zdobycie kwalifikacji zawodowych, a przede wszystkim przygotowanie się do pracy równorzędnej nad zagadnieniami wszystkich dziedzin, wynikających z naszego programu. Nie mniej ważnym jest przygotowanie i przystosowanie się do kontynuowania prac w prowadzonych przez naszych starszych kol. kol. i ideologii na wysokości zagadnień ogólnopaństwowych i międzynarodowych przy FIAPP. Nie wiem Koledzy i Koleżanki, czy wszyscy zdajecie sobie sprawę, czym jest Międzynarodowa Federacja b. Więźniów Politycznych i jakie ciążą na niej obowiązki. Związek łączy dzisiaj osiemnaście narodów ciemiężonych przez reżim hitlerowski. My jako członkowie Federacji musimy iść zgodnie z programem i statutem tego Związku.

My jako młodzież, pamiętajmy wszyscy reżim hitlerowski, a szczególnie Wy mieszkańcy Wojew. Śl.-Dąbrowskiego odczuliście na sobie rękę kata hitlerowskiego. Nie myślcie chociaż na chwilę, że zbrodnicza ręka przestała działać, fakty mamy na miejscu Siemianowice — w bestialski sposób organizacje podziemne hitlerowców znieważyły groby naszych bohaterów Oświęcimiaków i Powstańców Śl., niszcząc je i wypisując na tychże transparent: „Taki los czeka wszystkich bandytów oświęcimskich — Heil Hitler". Czy my młodzież możemy pozwolić na to, by w ten sposób poniewierano honor Ojców i Braci naszych, a więc przyrzeknijmy wszyscy jednogłośnie, iż będziemy tępić do ostatniej kropli krwi każdy powstający zarodek faszyzmu.

Sądziliśmy, że po zakończeniu wojny, państwo niemieckie, a zarazem gniazdo hitleryzmu i bandytyzmu przestanie istnieć na wieki — dziwi nas to, że jest inaczej.

Nie dają nam ofiar, ani pożyczki na odbudowę zniszczonych miast polskich, a odbudowuje się za miliony funtów i dolarów ciężki przemysł niemiecki. Nie dają nam ofiar na wdowy i sieroty po zamordowanych przez bandytów hitlerowskich — a pomaga się elementom faszystowskim.

My osiemnasta część FIAPP mamy dużo do wykonania. Obradująca Rada Naczelna FIAPP, apeluje do wszystkich członków, a przede wszystkim do młodzieży o zrozumienie potrzeb na arenie Międzynarodowej i uświadomienie nas, czym mogłaby być wojna, w której Niemcy wzięliby udział.

Wojna przy udoskonalonych środkach, a zapewne i piecach krematoryjnych byłaby naszym nieszczęściem.

Zorganizowani w osiemnastu narodach, musimy bardzo wiele zrobić dla dobra spokoju światowego.

W końcowej fazie swojego przemówienia zastępca Sekr. Generalnego kol. Rafalik apelował do kierowników SM, by Ci starali się o to, ażeby przy SM były założone Kółka, które by niszczyły każdy w zarodku objaw faszyzmu i hitleryzmu.

W ostatnich słowach kol. Rafalik podziękował koleżankom i kolegom za tak miłe nadspodziewane uroczyste przywitanie, o którym nie omieszka powiadomić Zarząd Główny.

DELEGACJA CZESKA W KATOWICACH

W Katowicach bawiła z rewizytą delegacją Bratniego Związku B.W.P. z Ostrawy (Czechosłowacja), której celem było zacieśnienie więzów przyjaźni i braterstwa Słowiańskich narodów.

W skład delegacji czeskiej weszli: prezes Okręgu Ostrawy, sekretarz i członkowie Zarządu z prezesem Przyjaźni Polsko-Czeskiej, kol. dr Kralem na czele. Delegację powitał z ramienia Okręgu Śl.-Dąbrowskiego sekretarz wojewódzki kol. Jan Poloczek.

Dr Kral, w krótkich i serdecznych słowach podziękował za przyjęcie, wyrażając jednocześnie nadzieję, iż przyjaźń bratnich narodów Polskiego i Czeskiego jest prawdziwym dowodem przyjaźni i wspólnoty słowiańskiej.

Sekretarz wojewódzki Z.b.W.P. kol. Poloczek, potrafił znaleźć wspólną nić porozumienia, która przyniesie korzyść dla obu narodów.

Dla upamiętnienia tej doniosłej chwili nastąpiła wymiana znaczków bratnich organizacji.

Kol. Kuzior wręczył na pamiątkę pobytu Braci Czeskich na Śląsku Statuę, wyobrażającą hutnika.

Okręg Warszawski
dziękuje

W ramach „Tygodnia Więźnia" Okręgu Województwa Warszawskiego Polskiego Związku b. Więźniów Politycznych Hitlerowskich więzień i obozów Koncentracyjnych, odbyły się następujące imprezy:

1) Uroczysta Akademia dn. 5.10 o godz. 11 w Teatrze Polskim z udziałem: Helena Zahorska, Halina Mickiewiczówna, Irena Gadeyska, Jan Bereżyński, Kazimierz Poreda, orkiestra symfoniczna Związku Zawodowego Artystów Muzyków P. R. pod dyrekcją prof. Stanisława Nawrota, Nelly Bogacka, Zbigniew Świętochowski.

2) „Wieczór autorski" Bohdana Zalewskiego (poezje obozowe) z udziałem: Lucyny Niedziałkówny, Haliny Trzonowej-Kowalskiej, Czesława Aniołkiewicza, Tadeusza Bocheńskiego, Leopolda Nowosada.

3) W sali Roma, „Wielki koncert" dn. 11.10. Anna Borey, Irena Gadeyska, Janina Hupertowa, Irena Kwiatkowska, Helena Zahorska, Andrzej Bogucki, Tomasz Dąbrowski, Leopold Nowosad, Jan Mroziński, Adam Wysocki, chór Eryana, Maria Krzyszkowska, Leon Wójcikowski, Nelly Bogacka i Czesław Aniołkiewicz.

We wszystkich tych imprezach artyści wzięli honorowy udział, zrzekając się nawet kwiatów, jakie Zarząd Okręgu Warszawskiego Związku b. Więźniów Politycznych chciał wręczyć w dowód wdzięczności i uznania.

Ta wspaniała postawa artystów i ich bezinteresowność w niesieniu pomocy wdowom i sierotom po zamordowanych w więzieniach i obozach koncentracyjnych znajduje u nas najwyższą ocenę i wdzięczność.

Zarząd Okręgu Województwa Warszawskiego Związku b. Więźniów Politycznych składa tą drogą P. P. Artystom sceny i opery serdeczne podziękowanie.

Apel Komisji Historycznej
Ravensbruck

Komisja Historyczna Obozu Koncentracyjnego Ravensbruck zwraca się z gorącym apelem do wszystkich koleżanek, które przewiozły fragmenty list obozowych, pochodzących ze Szwalni t.zw. Massy, o przekazanie ich Komisji do wykorzystania w przygotowanej pracy zbiorowej o obozie.

W związku ze wzmiankowaną pracą, Komisja prosi o składanie wszelkich danych, dotyczących obozu.

Materiały należy kierować do kol. Wandy Kiedrzyńskiej, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa, Al. I Armii W. P. nr. 3.

EXTERN

Anglicy mają krótką pamięć

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

Przeszło dwa lata żołnierze polscy z Anglii pełnili pod rozkazami brytyjskimi służbę w Niemczech, jako część składowa brytyjskiej Armii Renu, okupując północno-zachodnie tereny, położone tuż przy granicy holenderskiej.

Wiosną tego roku rozpoczęto demobilizację tych oddziałów, mających zresztą od chwili zakończenia wojny, raczej charakter wojsk najemnych. Znakomita większość żołnierzy, mimo szerzonej przez pewne ośrodki londyńskie propagandy antyreperacyjnej, usiłującej masy polskie zatrzymać za granicą, wyjechała i wyjeżdża jeszcze ciągle do kraju.

Stosunkowo niewielki okres czasu wspólnej służby na okupacji Niemiec pozwolił żołnierzom polskim poznać daleko lepiej Anglików niż długie pięć lat, spędzone w czasie wojny na wyspach brytyjskich, kiedy Polacy byli bardzo „modni". Okupacja Niemiec dopiero otworzyła im oczy na nieznane dotychczas cechy charakteru synów dumnego Albionu.

Gorąca atmosfera przyjaźni, zawartej w ciężkich dniach Battle of Britain oraz na polach walki pod Calaise, szybko chłodła, w miarę jak Anglicy zaczynali coraz bardziej dawać do zrozumienia Polakom, że... murzyn zrobił swoje i coraz wyraźniej ujawniać swe pro-niemieckie sympatie.

FRATERNIZACJA

Początkiem zbliżenia angielsko-niemieckiego było odwołanie już w sierpniu 1945 roku zakazu tzw. fraternizacji, co pozwoliło odrazu „fraternizującym się" Anglikom poznać ilu śmiertelnych wrogów miał hitleryzm w Niemczech i jaki to właściwie miły i nawskroś demokratyczny naród te biedne ofiary ucisku narodowo-socjalistycznego (o Niemcach mowa!).

Fraternizacja zataczało coraz szersze kręgi i wkrótce już każdy Anglik miał swoją „fraternisation-fräulein" i dom niemiecki w którym bywał. Oczywiście, wszystko to byli „dobrzy" Niemcy, od lat zagorzali przeciwnicy hitleryzmu, boć zresztą innych nie znajdziesz teraz w Niemczech ani na lekarstwo.

A jeśli przypadkiem w jakiejś rodzinie braciszek czy wujaszek siedział w obozie dla SS-manów, to chyba tylko dlatego, że albo kiedyś był ogłupiony propagandą hitlerowską (młody i niedoświadczony chłopak), albo był przy użyciu szantażu (ratował się przed kacetem) wciągnięty do oddziałów SS.

Oprócz tego dowiedzieli się również Anglicy od swoich „demokratycznych" przyjaciół (czytaj: przyjaciółek) jaki to niewdzięczny naród są Polacy, którzy nie tylko nie ocenili właściwie dobrodziejstw, płynących z 6-letniego obcowania z „herrenvolkiem", ale odpłacają teraz złem za dobro i w barbarzyński sposób wysiedlają Niemców ze swojego kraju.

Wszystko co Polacy piszą i opowiadają o okupacji Polski jest tylko wymysłem propagandy, dobrej może w czasie wojny, ale krzywdzącej teraz wszystkich Niemców, którzy przecież nie mniej niż inne narody, cierpieli przez narodowy socjalizm.



NOWY „HERRENVOLK"

A zbliżenie angielsko-niemieckie robiło tymczasem dalsze postępy. Stopniowo Niemcy zaczęli oddziaływać coraz bardziej na okupantów, co miało swoje źródło częściowo właśnie w nawiązywaniu żywych stosunków towarzyskich i częściowo w „inwazji" Niemek na wszystkie dosłownie urzędy angielskie, gdzie bez trudu zyskały wielkie wpływy i decydujący często głos u swoich angielskich szefów.

Rzecz jasna, że żołnierz polski na okupacji, widząc jak Anglik bezkrytycznie podchodzi do Niemców i jak pod ich wpływem stopniowo zmienia swój stosunek do niego, zaczął słabnąć w swych anglofilskich nastrojach, podsycanych dotychczas sztucznie przez koła londyńskie.

Wyszło mu to zresztą tylko na dobre, bo tracąc zaufanie do swych „chlebodawców", poszedł za głosem serca i rozumu, które wskazywały mu właściwą drogę postępowania, zaczynającą się od decyzji powrotu do kraju.

Oczywiście Niemcy w warunkach, jakie potrafili sobie stworzyć pod okupacją brytyjską, ani na chwilę nie stracili poczucia swojej „wyższości rasowej i idea „herrenvolku". Jest nadal tak aktualna jak za najlepszych czasów III Rzeszy.

Trzeba jednak przyznać, że pojęcie „wyższej rasy" zostało nieco rozszerzone. Może z konieczności, może ze względu na rosnącą ciągle liczbę małżeństw angielsko-niemieckich, a może właśnie ze względów rasowych Anglicy zostali uznani za godnych partnerów.

Ale wszystko co nie niemieckie i nie angielskie — to rasowo niższe i nie godne zaszczytu zbliżenia się do „herrenvolku".

POLAKOM WSTĘP WZBRONIONY

Żeby zresztą nie być gołosłownym opowiemy naszym Czytelnikom historię, która być może wyda się nieprawdziwa, ale która niestety, od początku do końca jest autentyczna.

W małej miejscowości Wohldorf, w prowincji Szleswig-Holstein, pozwolono sobie w sposób aż nadto dobitny zaakcentować stanowiska, o którym wyżej była mowa.

Istnieje tam basen pływacki, urządzony w swoim czasie przez jakiś mały klub niemiecki, rendez-vous miejscowego eleganckiego świata.

Przy wejściu do klubu wisi tablica z napisem w językach angielskim i niemieckim tej treści: „Tylko dla wojsk brytyjskich i członków klubu. Wszystkim innym wstęp surowo wzbroniony".

Może to byłoby w porządku i taka sielanka angielsko-niemiecka nikogo by nie dziwiła (członkowie klubu — to oczywiście tylko Niemcy), gdyby nie to, że dyrekcja aby uniknąć prawdopodobnie jakichkolwiek nieporozumień kto to są ci wszyscy inni, umieściła poniżej mniejszą tablicę z napisem już tylko w języku polskim, który brzmi dosłownie tak: „Wstęp polskim żołnierzom zbroniono po rozkazu".

Zdumieni zatrzymujemy się przed tym napisem, który nam tak dobrze przypomina okupacyjne tablice: „nur für Deutche", i nie wierzymy własnym oczom.

Kilku żołnierzy Armii Renu z naszywkami „Poland" na rękawach, którzy dotarli służbowo w te okolice i korzystając z pięknej pogody chcieli się wykąpać, stoi przed tą tablicą z zakłopotanymi minami.

— Tfu, psiakrew! — odzywa się jeden — szkoda, że takiego napisu nie postawili pod Bredą.

— Jeszcze brakuje napisu, że psów wprowadzać nie wolno — dodaje drugi.

Powoli odchodzą od wejścia, odprowadzani szyderczymi spojrzeniami młodych Niemek, stojących w towarzystwie żołnierzy angielskich.

Chwilę zastanawiamy się co znaczy tajemnicze „po rozkazu" i dochodzimy do wniosku, że jest to nieudolne tłumaczenie angielskiego „by order" co należałoby poprawnie przetłumaczyć „na podstawie rozkazu władz".

Zapewne miejscowy angielski komendant wojskowy skwapliwie korzysta „po rozkazu" z dobrodziejstw fraternizacji.

ŁKANIA W RADIO

A kontrolowana przez Anglików radiostacja północno-zachodnich Niemiec (Nordwestdeutscher Rundfunk) nadaje w tym samym mniej więcej czasie, w ramach audycji „Echo des Tages", reportaż dźwiękowy o treści następującej:

Reporter radiowy, odwiedzając obóz dla repatriantów niemieckich z Ziem Odzyskanych, prowadzi długą rozmowę z Niemką, przywiezioną z Polski. Niemka ta, obrazując okropne traktowanie Niemców przez władze polskie (wysiedlenie z miasta, gdzie się urodziła, aż trzy dni w drodze, po 20 osób w wagonie towarowym i tym podobne „okropności") przerywa swoje opowiadanie spazmatycznym łkaniem.

Reporter bezskutecznie prosi ją, aby się uspokoiła.

Reportaż kończy się dramatycznym szlochem opowiadającej i pozostaje bez żadnego komentarza.

Niejaki dr. Sossidi, który jest kierownikiem audycyj „Echo des Tages" w Nordwestdeutscher Rundfunk, należy do ludzi przezornych, jakich wielu jest wśród „odnacyfikowanych" Niemców.

Kiedy w czasie pierwszego procesu przeciwko zbrodniarzom wojennym wydelegowano go do Norymbergi w celu zorganizowania reportaży dźwiękowych z sali sądowej, przybrał nazwisko Andreas Günther, którego zresztą używa do tej pory.

Po prostu na wszelki wypadek. A nuż ktoś wypomni za jakiś czas, że pan doktór, prowadząc reportaże z procesu norymberskiego, nieopatrznie powiedział, że na ławie oskarżonych zasiedli najwięksi zbrodniarze w historii świata...

POLACY ZAWSZE SPRAWIAJĄ ZAWÓD

Polscy żołnierze z brytyjskiej Armii Renu jeszcze raz spotkają się z niezrozumiałym co najmniej dla nich stanowiskiem aliantów w chwili wyjazdu do Polski, po demobilizacji.

Podczas gdy zwalniani z niewoli brytyjskiej jeńcy niemieccy wywożą ze sobą worki wypchane nagrabionymi w czasie wojny dobrami, a nawet, jak donosiła prasa angielska, w szeregu wypadków przez „nieporozumienie" otrzymują angielskie kupony odzieżowe, bagaż zdemobilizowanego żołnierza polskiego, wyjeżdżającego do kraju po siedmiu latach tułaczki, jest nader sumiennie kontrolowany przez celników angielskich, korzystających z pomocy... policji niemieckiej.

Kiedy z Lubeki odchodzi pociąg repatriacyjny z polskimi żołnierzami brytyjskiej Armii Renu, angielscy sojusznicy, ku wielkiej radości Niemców, obstawiają dworzec kolejowy samochodami pancernymi i w pobliżu trzymają silne oddziały wojskowe, na wypadek gdyby „bloody Poles" zbuntowali się i nie dopuścili do przewracania im w walizkach przez niemieckich policjantów.

Ale Polacy sprawiają zawsze zawód. Stary, udekorowany wieloma wstążkami, sierżant z dywizji pancernej, któremu celnik angielski zabrał radio, twierdząc, że na pewno tego sprzętu nie miał idąc na wojnę, spokojnie wyciągnął z kieszeni scyzoryk, odpruł wszystkie odznaczenia angielskie i wręczając je celnikowi, powiedział:

— Tego też nie miałem wtedy ze sobą. Niech pan to zatrzyma.

Hamburg, w sierpniu 1947 r.

List do brata za granicą

Powiedz mi biedny wędrowcze, kto Cię skazał na tułaczkę po ziemiach obcych i jaka siła zdolna Cię trzymać tak długo poza granicami ojczystego kraju.

Wszędzie, gdziekolwiek się znajdziesz — we Francji, Anglii czy w Szwecji — jednako jesteś tam obcy i niepotrzebny. Podczas wojny okupant oderwał Cię od ziemi ojczystej i od rodziny. Przez parę lat siedziałeś w oflagu, stalagu, w obozie koncentracyjnym lub na przymusowych robotach.

Przetrwałeś lata niewoli i przyszła chwila wyzwolenia. Twoim obowiązkiem wygnańca było wrócić do Ojczyzny, by tu, na gruzach i pogorzeliskach, podjąć wspólne dzieło odbudowy.

A Ty — czyś się zląkł trudu, czyś serce stracił dla matki-ziemi, czyś zbłądził na krętych, cudzych ścieżkach, że nie potrafisz wrócić na naszą, polską drogę odradzającego się po wojnie życia?

Jesteś jak ślepiec, któremu słońce rozbłysło nad głową, a on go nie widzi.

Gnuśniejesz na obczyźnie w bezczynie i jak włóczęga żyjesz obcym chlebem.

Niewątpliwie więcej podoba Ci się Polaku-„londyńczyku" życie na Picadilly, niż w polskich gruzach, ale nam tutaj tak swojsko szemrze Wisła, gdy z mostu Poniatowskiego patrzymy w jej rozedrgane fale, że Tobie na pewno ani Tamiza, ani Sekwana tak nie przemówią.

Ty, Polaku-emigrancie, podziwiasz w Paryżu niezniszczoną przez działania wojenne katedrę Notre Dame i różne cuda obcej kultury, a nam ręce omdlewają przy pracy, ale rosną serca, gdy patrzymy jak z gruzów powstaje na nowo nasza prastara katedra św. Jana i gdy na Rynku Starego Miasta widzimy odbudowujące się już zabytkowe, starowarszawskie mury.

Ożyły Nowy Świat i Marszałkowska, przeradzająca się w najwspanialszą arterię Warszawy.

Jeśli wiesz, a wiesz na pewno, jak bardzo po Powstaniu była zniszczona Warszawa, to gdybyś teraz zobaczył jak się odradza i jak rośnie, gdybyś zobaczył istniejący tu entuzjazm pracy i tworzywa, na pewno odczułbyś silniej otaczającą Cię pustkę bez wartościowości życia i wróciłbyś w jednej chwili, by podjąć cząstkę naszego trudu.

Całe społeczeństwo polskie stanęło do odbudowy zniszczonej stolicy.

Pracują nie tylko kadry robotników, majstrów i inżynierów, ale można także zobaczyć przy taczkach i łopacie członków rządu, wojsko, organizacje polityczne, społeczne i młodzieżowe, artystów z 92-letnim Ludwikiem Solskim na czele, studentów i innych.

Przyjechała do Warszawy młodzież jugosłowiańska, bułgarska i francuska, by spędzić wakacje przy uprzątaniu ruin i budowie „domu studenta".

W gronie naszych cudzoziemskich przyjaciół nie zabrakło nawet Murzyna, który aż tu do nas przyjechał z pomocną dłonią, ale brak tutaj jeszcze twoich, silnych, twórczych rąk.

Nie czekaj za granicą, aż my odbudujemy ci dom, ale wracaj, by z solidaryzować się z nami we wspólnej pracy, wracaj by razem z nami budować!

Zmarli w Buchenwaldzie

Byszewski Władysław, 1469/2 Byszewski Włodzimierz, 3820/8 Capka?, 65811/6 Cebejowski Józef, 7872/6 Cech Władysław, 30145/8 Ceglasz Adam, 30137/18 Ceglasz Stanisław, 40454/10 Celabko Stefan, 2443/10 Celesz Józef, 30198/18 Celuch Bronisław, 30569/18 Centkowski Witold, 87531 Chaband Marian, 12451/35 Chachrowski Jan, 30570/18 Chaladus Stefan, 29818/6 Chambiński Józef, 17387/2 Chamiak Józef, 40477/21 Chanf Erwin, 8368/2 Chawlena Ferdynand, 20675 Chempin Paweł, 156/8 Chemszyn Mikołaj, 31672/21 Chlebowski Zygmunt, 1468/8 Chemiez Stefan, 8904/22 Chlewa Eugeniusz, 15321/5 Chlont Bolesław, 29781/15 Chmielewski Czesław, 33376 Choiński J., 39376 Breslau — Choiński Józef, 3382/2 Chojnacki Adam, 58619/13 Chojnacki Franciszek, 14728/2 Chojnacki Józef, 12053/17 Chojnacki Roman, 8502 Chojnacki Władysław, 27659/9 Chojnacki Władysław, 30532/18 Chojnicki Władysław, 5575/2 Chomżyński Edward, 85469 Choszelewski Marian, 04095/7 Chrom Piotr, 3799/8 Chropowicki Antoni, 6149/19 Chrostowski Ignacy, 85576/35 Chruścielski Roman, 85701/6 Chrząstek Józef, 16734/3 Chrząszcz Wawrzyniec, 29855/5 Chuduliński Czesław, 32602/21 Chwist Franciszek, 30099/21 Chwost W., 12424/2 Ciborowski Jan, 30142/18 Cichoński Adam, 30135/18 Cichoński Jan, 30139/18 Cichoński Jan, 85000 Cichy Antoni, 63060/10 Ciepły Jan, 68774/10 Ciernpikowski Czesław, 6265/2 Cieślak Kazimierz, 27403/15 Cieślak Marian, 7280/2 Cieślak Seweryn, 59623/6 Cieśliński Bronisław, 42453/9 Cieślowski Zygmunt, 4628/18 Ciotrowski Bolesław, 65161/8 Ciszak Maksymilian, 29270/2 Citarenko Maksymilian, 1454/22 Cudek Zbigniew, 82801/16 Cychlewicz Franciszek, 42986/6 Cypial vel Cupiol Piotr, 34918/9 Cyran Ignacy, 30094/21 Czaja Ignacy, 36500/16 Czajczyński Franciszek, 40393/16 Czajkowski Franciszek, 65066/16 Czaprockí Jan, 11810 Czarnocki Zbigniew, 3231/21 Czech Jan, 30697/9 Czech Józef, 27684/2 Czechowski Józef Jan, 40393/21 Czejkowski Franciszek, 3951/20 Czemel vel Czemił Konstanty, 87566/10 Czendrowski Ludwik, 23519 Czerpowczenko Andrzej, 30144/18 Czerski Bolesław, 30141/18 Czerski Józef, 30140/18 Czerski Stanisław, 32872/18 Czykolski Teodor, 3792/4 Czyżyk Bazyli, 29724/21 Czubak Józef, 2296/10 Czugaj Jan, 74995/17 Czyżowski Walerian, 29796 Dąbrowski Wacław, 14779 Dąbrowski, 6642/2

Drukarnia: „Robotnik", Nr. 1, Al. Jerozolimskie Nr. 121. Spółdz. Wyd. „Wiedza".

B—87798

Poszukiwania

Ktokolwiek z b. więźniów politycznych spotkał się w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie ze ś. p. mężem moim Wacławem **PRENIEREM**, przesłanym tam w lutym 1945 r. z Sachsenhausen i może udzielić bliższych szczegółów o nim i jego śmierci w Buchenwaldzie 6 marca 1945 r., jest gorąco proszony o skomunikowanie się ze mną: Warszawa-Praga, ul. Targowa 67, Inspektorat Pracy II Okręgu — żona dr Kunicka-Prenier.

Jerzy **MĄCZYŃSKI**, więzień obozu koncentracyjnego Mauthausen, podobozia Gusen II, inżynier mierniczy, numer więźnia 95484, zmarł tamże 5 lutego 1945 r. O wiadomość o ostatnich chwilach jego życia i zgonie prosi matka: Radomsko, ul. Legionów 25b, albo Koło Związku b. Więźniów Politycznych w Radomsku — Zofia Mączyska.

WĘGIERKO Aleksander, ur. 24.8 1915, przebywał w Mauthausen w chwili wyzwolenia obozu przez Amerykanów, nr więźnia 121433. Kto zna jego dalsze losy proszony jest o zawiadomienie rodziców: Lublin, Szopena 17 — prof. dr Jakub Węgierko.

Zbigniew Henryk **KAMIEŃSKI**, ur. 26.4 1925 w Ostrowie Wlkp., zam. Warszawa, Górczewska 4, uczeń szkoły kupiecko-handlowej, wywieziony we wrześniu 1944 r. z Warszawy podczas Powstania do Oświęcimia — Birkenau, a stamtąd wywieziony do Mauthausen. Dalsze losy jego są nieznane. Wiadomość proszę kierować: Maria Kamieńska, Bielawa, Dolny Śląsk, ul. Gen. Świerczewskiego 4 m. 1.

WIĄCEK Kazimierz, lat 42 jest poszukiwany przez N. Pędowską — Skwierzyna n. W., Seminaryjna 5.

KOBRYŃ Aleksander, inż., ur. 21.5 1888 r. w Warszawie, 21 czerwca 1944 r. aresztowany w Warszawie i osadzony na Pawiaku. Dnia 6 lipca wywieziony do Gross-Rosen. W lutym 1945 r. ewakuowany do Sudomierza — Czechy i od tej chwili ślad po nim zaginął. O wiadomość prosi żona Zofia Kobryń, Poznań, ul. Mylna 38 m. 3.

OŚCIŁOWSKI Józef, ur. 19.9 1908 r. w Czyżewie, wywieziony z Powstania do obozu w Dachau, nr 106210. O wiadomość prosi żona Ościłowska Alina, Warszawa, Targowa 36.

PIETROW Wasyl, ur. 8.8 1907 r. Przebywał w Oświęcimiu od 4.2 do 6 1942 r. Od tej daty ślad o nim zaginął. Zwracam się do Kolegów przebywających w tym czasie w Oświęcimiu o jakąkolwiek wiadomość o nim na adres: WarszawaPraga, ul. Wileńska 12 m. 91 — brat Pietrow Jerzy.

MAJEWSKIEGO Jerzego, który był w Oświęcimiu w 1941 r. od maja do końca sierpnia, nr 16350 — poszukuje matka Amelia Majewska, Warszawa, Plusa XI 24 m. 84. PCK.

OKOŃSKIEGO Józefa, ur. 1899 r., areszt. i wywiezionego do Oświęcimia 6 maja 1943 r., numer 120206, barak 15 — poszukuje żona Paulina Okońska, Warszawa, Puławska 72.

KRUTIKOW Aleksander, inż. elektryk, który był w Oświęcimiu od 2 grudnia 1942 r. do 16 marca 1943 r., nr 22844 Auschwitz, blok 9, st. 2 Postamt 2. O wiadomość prosi żona Nadzieja Krutikow, Milanówek, ul. Długa 17.

STĘPNIEWSKI Jerzy, urzędnik skarbowy 17 Urzędu Skarbowego przy ul. Długiej nr 31. Aresztowany dnia 16 września 1940 r. wraz z 16 kolegami z biura. Był 6 miesięcy na Pawiaku, 31 stycznia 1941 r. przewieziony do Oświęcimia, blok 13. Otrzymałam wiadomość, że zmarł 26.3 1941 r. Poszukuje żona Mieczysława Stępniewska, Częstochowa, Al. Wolności nr 37 m. 10.

STĘPNIEWSKI Ryszard, ur. 1928 — 14 sierpnia, uczeń gimnazjum, ul. Miodowa 23 w Warszawie, wywieziony do Flossenburgu. O wiadomość prosi matka Mieczysława Stępniewska, Częstochowa, Al. Wolności 37 m. 10.

STEC Janina, ur. 1922 r. w Stanisławowie. Przebywała tamże do roku 1942. Aresztowana za prace konspiracyjne między Stanisławowem a Lwowem. Była w Oświęcimiu — Birkenau, gdzie przebywała do roku 1944 pod nr 26774. W czerwcu 1944 r. wywieziona do Niemiec. Wiadomość kierować do Koła Powiatowego b. Więźniów Polit. w Świeciu, ul. Dworcowa 15.

BANASEWICZ Antoni, ur. 9.12 1900 r. syn Wincentego i Antoniny z Pawłowiczów. Wywieziony w czasie Powstania z Warszawy z ul. Franciszkańskiej 12 m. 33 na początku września 1944 r. do Mauthausen, gdzie jakoby zmarł 23.1 1945 r. w Mauthausen, czy też w którymś z podobozów. Prosi o wiadomość żona Kazimiera Banasewicz — Gryfino n. Odrą, ul. Nowomłynarska 3 (Pomorze Zachodnie).

ADAMCZYK Antoni, ur. 2.11 1905. Był więźniem w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu nr 175742. Następnie pod tym numerem przebywał w obozie pracy „Eintrachtslinte" w Świętochowicach, należącym do ob. koncentar. w Oświęcimiu. Od 5.11 1944 r. nie ma o nim wiadomości. Poszukuje żona Franciszka Adamczyk, zam. w Pile, poczta Końskie, gm. Duraczów, pow. Końskie.

SEKUNDA Edward, ur. 27.1 1902 w Radziejowie, syn Stefana i Rozalii z Pasławskich. W dniu 13.7 1942 r. aresztowany i zabrany z firmy „Unia Strażacka" we Lwowie, przy ul. Pijarów 67. Mieszkał przy ul. Pijarów 50 — 1 we Lwowie. Osadzony został w więzieniu przy ul. Łęckiego we Lwowie. W dniu 30.7 1942 r. wywieziony do obozu w Oświęcimiu i od tej pory nie ma o nim wiadomości. Poszukuje żona Anna Sekunda, Wrocław, ul. Cieszyńska 22 — 8.

ZAGAJEWSKI Kazimierz, ur. 21.6 1922 r. w Stanisławowie. 5.9 1944 aresztowany przez Gestapo w m. Wyknie koło Koluszek, pow. Rawa Mazowiecka i następnie 6.10 1944 wywieziony z więzienia w Tomaszowie Maz. do obozu w Gross-Rosen, gdzie przebywał do stycznia 1945 r., blok 5, jako „Haftling" nr 65302. Z Gross-Rosen podczas ofensywy został wywieziony do Nordhausen, a ostatnio był widziany w dobrej formie jeszcze 17.4 1945 r. w Harzungen w Turyngii, skąd miał zostać powleczony dalej w kierunku rzekomo obecnej strefy amerykańskiej. Poszukuje ojciec Tadeusz Zagajewski, kierownik działu Dyr. Kolei Pastw. w Szczecinie, ul. Łokietka 9 m. 7.

PRZYBYŁOWICZ Jan, absolwent Liceum w Zamościu. Aresztowany w marcu 1940 r. i osadzony w więzieniu Montelupich w Krakowie. Przez 3 miesiące, tj. do końca maja 1940 r. był w kontakcie z matką, po tym ślad zaginął. Poszukuje matka Maria Przybyłowicz, Zamość, ul. Piłsudskiego 49 m. 4 II p.

PACZKOWSKA Franciszka, z domu Barłukowicz, ur. 26.2 1904 r. w Rosji w Krasnojarsku.

PACZKOWSKI Leonard, ur. 6.11 1927 r. Aresztowany 1 maja 1944 r.

Obydwoje zostali wywiezieni przez Niemców 28.6 1944 r. z Głębokiego w niewiadomym kierunku. Poszukuje Paczkowska Stanisława, Międzyrzecze Poznań, ul. Dąbrowskiego 9.

SOBIECH Karol, był w okresie 1.9 1944 r. w obozie koncentracyjnym Flossenburg, nr więźnia 25288. Poszukuje Sobiech Helena — żona, zam. w Niesłuchowie, gm. Miszewo Murowane, pow. płocki.

RĄCZKOWSKI Władysław, który od marca do czerwca 1942 r. był na Pawiaku i od tego czasu ślad o nim zaginął. Za okupacji miał przybrane nazwiska: Recciński, Łagoda Jerzy. W 1938 i 1939 r. studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Mieszkał za okupacji przy ul. Świętojerskiej u Edwarda Selmaka, który miał bar na Świętojerskiej. Tamże mieszkał z kolegą swoim Śroczyńskim Franciszkiem. Poszukuje żona Rączkowska Bogumiła, Busko-Zdrój, ul. Kilińskiego 48 albo 36.

MAJAK Lucjan, ur. 11.9 1906 r. w gm. Jasienice, pow. Grójec. Zabrany z ulicy Grzybowskiej nr 11 m 90 dnia 14.5 1943 r. Był w Oświęcimiu i Hannowerze, skąd była wiadomość 11.4 1944 r. Nr więźnia (Hannower) 22762, blok 3. Prosi o wiadomość żona Anna Majak, Warszawa, Grzybowska 11 m. 90.

DUDA Franciszek lat 23, **DUDA Stanisław** lat 28 i **DUDA Antoni** lat 38 synowie Pawła i Franciszki, zam. w Cekarzewicach, aresztowani przez Niemców w 1942 r. i osadzeni w Oranienburgu. Poszukuje matka Franciszka Duda, zam. w Cekarzewicach, gm. Tarłów, pow. Iłża, woj. Kielce.

DMYTRYSZYN Józef, ur. w 1907 r. w Krakowie, przebywający od listopada 1944 w Gross-Rosen. Poszukuje Włodzimierz Dmytryszyn, Katowice, ul. Głowackiego 8 m. 1.

KOLENDOWICZ Maria, ur. 19.2 1898 r. w Paterku k. Nakła nad Notecią, z domu Stasińska. Ostatnio zam. w Warszawie — Żoliborz, ul. Krajewskiego [illegible] 21. Z Powstania wywieziona 29.9 z Placu Inwalidów przez Pruszków do obozu koncentracyjnego w Ravensbrueck i była tam do 18.10 1944 r., numer przypuszczalny 76200 — 300. Poszukuje siostra Pelagia Stasińska, Bydgoszcz, ul. Wojciecha Gersona 12 m. 1.